

*Znajdź swoją pamiątkę rodzinną
i opisz jej historię*

Gracie Laureatów II edycji konkursu

*Znajdź swoją pamiątkę rodzinną
i opisz jej historię*

Prace Laureatów II edycji konkursu

*Archiwum Państwowe w Szczecinie
Kuratorium Oświaty w Szczecinie*

*Znajdź swoją pamiętkę rodzinną
i opisz jej historię*

Prace Laureatów II edycji konkursu

Szczecin 2021

Redakcja: Iga Bańkowska, Janina Kosman

Korekta: Joanna Glatz, Janina Kosman

Skład, łamanie, projekt okładki: Iga Bańkowska

Konsultacja: Małgorzata Duras, Daniel Wróbel

Konkurs zrealizowany według pomysłu Małgorzaty Duras

Na okładce wykorzystano fragment fotografii ilustrujący tekst Laureatki I edycji konkursu Dominiki Puzio pt. „Smaki przeszłości, czyli o zeszycie mojej praprababci”



Copyright by Archiwum Państwowe w Szczecinie © 2021

Copyright by Kuratorium Oświaty w Szczecinie © 2021

Wersja papierowa: ISBN 978-83-66028-13-5 (Archiwum Państwowe w Szczecinie)

Wersja pdf: ISBN 978-83-66028-14-2 (Archiwum Państwowe w Szczecinie)

Wydanie I

Nakład: 600 szt.

Spis treści

Od Wydawców	7
Laureaci II edycji konkursu „Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię”	11
Prace Laureatów II edycji konkursu	13
Dominika Szulc, <i>Pamiętnik – wojna, śmierć, aresztowanie rotmistrza Pileckiego</i>	15
Mikołaj Nowek, <i>Album przywieziony z Kresów Wschodnich</i>	21
Wiktoria Stępczyńska, <i>Historia pamiątek rodzinnych</i>	35
Zuzanna Pietrasik, <i>Kochaj i bądź kochaną</i>	45
Kamila Bronis, <i>Historia ciotki Weroniki i jej naszyjnika</i>	51
Aleksandra Banuch, <i>Anioł Stróż</i>	57
Kacper Omietiański, <i>Moja pamiątka rodzinna</i>	61
Amelia Soroka, <i>Tajemnice mglistych wzgórz</i>	65
Aleksandra Szewczuk, <i>Księga wiary i nadziei</i>	77
Maja Turek, <i>Zdjęcie</i>	81
Eliza Numryk, <i>Pamiątka rodzinna</i>	85
Szymon Myszczyżyn, <i>Moja pamiątka rodzinna</i>	89
Rafał Pietruczyk, <i>Oponieść w obrazku zamknięta</i>	93
Zuzanna Sumara, <i>Niezwykła historia perskiego kilimu</i>	99
Maksymilian Ozga, <i>Porcelanowy ptak</i>	107
Piotr Niemcewicz, <i>Dwa szkice</i>	115
Mikołaj Leszczyński, <i>Moja pamiątka rodzinna</i>	121
Gabriel Foremny, <i>Sybir – droga przez mękę</i>	125
Anna Bany, <i>„Pies” i „Osa” – portret zanurzony w historii</i>	131
Adam Jędrzejczak, <i>W małym ciele wielki duch</i>	137
Gala rozdania nagród Laureatom II edycji konkursu „Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię”	141

Od Wydawców

*Najważniejsze są wspomnienia.
Kiedy nie zostaje już nic, wspomnienia wciąż żyją.*

Winston Groom

Szanowni nauczyciele i rodzice! Drodzy uczniowie!

Oddajemy w Wasze ręce kolejną antologię z pracami literackimi laureatów drugiej edycji konkursu pt. „Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię”, który udało nam się zorganizować wspólnie z Dyrektorem Archiwum Państwowego w Szczecinie panem Krzysztofem Kowalczykiem.

Pamiętki rodzinne służą nie tylko pielęgnowaniu pamięci o naszych przodkach, ale posiadają również wartość sentymentalną. Dzięki Waszemu ogromnemu zaangażowaniu miałam okazję poznać ponad czterysta wyjątkowych historii. To niezwykle budujące, że tak wielu uczniów sięgnęło do rodzinnych archiwów, by móc poznać losy swoich pradziadków, babć, czy rodziców. To dla mnie bardzo ważne, tym bardziej, że konkurs odbywał się w trudnych czasach pandemii, w okresie nauki zdalnej.

Aby zrozumieć terażniejszość musimy znać przeszłość. Czytając nadesłane opowiadania, mogłam przekonać się, jak cenne dla uczniów są przekazywane z pokolenia na pokolenie obrazy, zegary, porcelana, czy biżuteria. Przedmioty te towarzyszyły wielu rodzinom, stały się symbolem ich tradycji, a także upamiętnieniem czasów, w których żyli ich przodkowie. Bez wiedzy na temat swoich korzeni nie zbudujemy własnej tożsamości. Cieszę się, że rozumieją to nasi uczniowie i w tak piękny sposób opisali to w swoich pracach.

Tegoroczny poziom konkursu był bardzo wysoki. Dlatego, spośród kilkuset nadesłanych prac, trudno nam było wybrać tę jedną najlepszą. Skłoniło nas to do przyznania aż dwudziestu równorzędnych nagród. Sukces tego przedsięwzięcia umocnił nas także w przekonaniu, aby kontynuować konkurs i zorganizować jego kolejną edycję. Będziemy o tym informować na bieżąco na stronach internetowych kuratorium i archiwum.

Chciałabym podziękować Panu Krzysztofowi Kowalczykowi za dotychczasową współpracę. To bardzo ważne, że wspólnie możemy popularyzować wśród uczniów wiedzę kulturową, historyczną, archiwalną i regionalną. Dziękuję również wszystkim uczniom, którzy wzięli udział w konkursie, za ogromne zaangażowanie, a także rodzicom i nauczycielom za pomoc udzieloną swoim podopiecznym w przygotowaniach do konkursu.

Magdalena Zarębska-Kulesza
Zachodniopomorski Kurator Oświaty

*Najważniejsze jest to, by gdzieś istniało to, czym się żyło.
I zwyczaje. I święta rodzinne. I dom pełen wspomnień.*
Antoine de Saint-Exupéry

Drodzy rodzice, nauczyciele i uczniowie!

W 2019 roku wraz Zachodniopomorską Kurator Oświaty Magdaleną Zarębską-Kuleszą podjęliśmy decyzję o zainaugurowaniu konkursu dotyczącego opisanego przez uczniów rodzinnej pamiątki. Był on adresowany do dzieci i młodzieży z województwa zachodniopomorskiego. Nie sądziliśmy, że napłynie aż tak wiele prac tj. 380. Wybór laureatów okazał się niezmiernie trudny, ostatecznie komisja konkursowa wyłoniła w 2020 roku dziewięciu laureatów i przyznała osiem wyróżnień. Zwycięzcy otrzymali cenne nagrody i mogli poznać tajemnice szczecińskiego archiwum, zwiedzając jego gmach. Sukces przedsięwzięcia skłonił nas do organizacji kolejnej edycji konkursu. I tym razem napłynęło bardzo wiele prac (452). Wyłoniliśmy w 2021 roku aż dwudziestu laureatów. Ich prace zostały opublikowane w niniejszej broszurze.

Opisanie historii cennego przedmiotu (artefaktu) będącego w posiadaniu rodziny, może być przyczynkiem do poznania jej przeszłości. Artefakty rodzinne to z reguły archiwalia (np. dzienniki, pamiętniki, dokumenty urzędowe, fotografie, mapy), biżuteria (np. pierścionki, naszyjniki, medaliony zegarki), ruchome dzieła sztuki (np. obrazy, rzeźby, meble) przedmioty codziennego użytku (np. brzytwa, tabakiera, okulary, zabawki), sprzęty gospodarstwa domowego (np. maszyna do szycia, radio). Przedmioty te są ważnym źródłem, symbolem, kluczem do odkrywania historii rodu, lokalnej społeczności, regionu i kraju. Równie ważne, pogłębiające wiedzę o rodzinnej przeszłości mogą być rozmowy z najstarszym pokoleniem (pradziadkami, prababkami, dziadkami, babciami) osnute wokół historii tych artefaktów. Dzięki tym konwersacjom, dialogom, spotkaniom nie tylko poszerzamy swoją wiedzę o przeszłości, ale budujemy autentyczne więzi rodzinne. Ma to szczególne znaczenie na Pomorzu Zachodnim, które od 1945 roku zasiedlali Polacy ze Wschodu i Zachodu. Byli to wysiedleńcy

z Kresów Wschodnich; przesiedleńcy z Polski centralnej, Wielkopolski, Małopolski, dawnego województwa pomorskiego; reemigranci z Zachodu; byli więźniowie niemieckich obozów koncentracyjnych, sowieckich łagrów (sybiracy); robotnicy przymusowi z terenu III Rzeszy; żołnierze Armii Krajowej, Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie (andersowcy, maczkowcy) czy 1. i 2. Armii Wojska Polskiego (w ramach tzw. osadnictwa wojskowego). Na teren Pomorza Zachodniego przybywali również Żydzi, Ukraińcy, Grecy, Macedończycy. Wszyscy oni tworzyli nową, regionalną tożsamość.

Warto poznawać historię własnej rodziny i swojego miejsca zamieszkania. Dziękuję wszystkim uczestnikom drugiej edycji konkursu, ich rodzicom i nauczycielom. Tylko pamiętając o przeszłości, ukorzenia my i budujemy swoją tożsamość. Zapraszam uczniów z województwa zachodniopomorskiego do udziału w kolejnej edycji konkursu. Jednocześnie pragnę podziękować Zachodniopomorskiej Kurator Oświaty Magdalenie Zarębskiej-Kuleszy za wspólny udział w przedsięwzięciu, który jest wyrazem owocnej współpracy obu instytucji państwowych (kuratorium i archiwum).

dr hab. Krzysztof Kowalczyk

Dyrektor Archiwum Państwowego w Szczecinie

*Laureaci II edycji konkursu
Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię*

- Dominika Szulc** – IX Liceum Ogólnokształcące z Oddziałami Dwujęzycznymi im. Bohaterów Monte Cassino w Szczecinie;
- Mikołaj Nowek** – Zespół Szkół Stowarzyszenia Oświatowego w Dębnie;
- Wiktoria Stępczyńska** – Szkoła Podstawowa nr 4 im. mjr. Henryka Sucharskiego w Stargardzie;
- Zuzanna Pietrasik** – Szkoła Podstawowa nr 35 im. Jana Pawła II w Szczecinie;
- Kamila Bronis** – Szkoła Podstawowa im. Mieszka I w Mieszkowicach;
- Aleksandra Banuch** – Szkoła Podstawowa nr 2 im. kpt. ż.w. Mamerta Stankiewicza w Gryfinie;
- Kacper Omietiański** – Szkoła Podstawowa nr 74 im. Stanisława Grońskiego w Szczecinie;
- Amelia Soroka** – Szkoła Podstawowa nr 1 im. Henryka Sienkiewicza w Białym Borze;
- Aleksandra Szewczuk** – Publiczna Szkoła Podstawowa w Bezzreczu;
- Maja Turek** – Szkoła Podstawowa nr 3 im. Polskich Olimpijczyków w Nowogardzie;
- Eliza Numryk** – Szkoła Podstawowa im. Leśników Polskich w Piasku;
- Szymon Myszczyszyn** – Szkoła Podstawowa nr 6 w Szczecinie;
- Rafał Pietruczyk** – Szkoła Podstawowa w Długolece;
- Zuzanna Sumara** – Liceum Ogólnokształcące w Zespole Szkół im. Pamięci Ofiar Terroryzmu 11 Września 2001 Roku w Kaliszu Pomorskim;
- Maksymilian Ozga** – Szkoła Podstawowa nr 56 im. kpt. ż.w. Konstantego Maciejewicza w Szczecinie;
- Piotr Niemcewicz** – Szkoła Podstawowa nr 48 im. Kawalerów Orderu Uśmiechu w Szczecinie;
- Mikołaj Leszczyński** – Publiczna Szkoła Podstawowa w Bezzreczu;
- Gabriel Foremny** – Szkoła Podstawowa im. Wspólnej Europy w Nawodnej;
- Anna Bany** – Szkoła Podstawowa nr 5 im. Orła Białego z Oddziałami Dwujęzycznymi w Policach;
- Adam Jędrzejczak** – Szkoła Podstawowa nr 3 im. Marynarzy Polskich w Kołobrzegu.

Prace Laureatów II edycji konkursu

„Znajdź swoją pamiątkę rodzinną
i opisz jej historię”

Dominika Szulc

IX Liceum Ogólnokształcące z Oddziałami Dwujęzycznymi
im. Bohaterów Monte Cassino w Szczecinie

Pamiętnik - wojna, śmierć, aresztowanie rotmistrza Pileckiego



Jakiś czas temu, kiedy mój tato przeglądał dokumenty rodzinne, natknął się na pamiętnik swojego ojca. „Pamiętnik” – brzmi dość szumnie, tak naprawdę to był „zwykły” zeszyt, który przeleżał w szafie ponad pół wieku. Pożółkłe kartki przykuły uwagę mojego rodzica. Na okładce tylko przedział czasowy: 17 lipca 1944 r. – 14 listopada 1949 r. Wyznacznik czasu, dziecięcy charakter pisma oraz rysunki bardzo go zaintrygowały. Tato doskonale znał historię swojej rodziny. Słyszał ją wielokrotnie od najbliższych, od taty, babci, dziadka. Sam, będąc już dorosłą osobą, pogłębiał i nadal pogłębia wiedzę historyczną o swoich przodkach. Wiele słyszał, ale znalezisko zaskoczyło nawet jego.

Na pierwszej stronie są dwa zdania:

ŁASKA BOŻA JEST NAM DO WSZYSTKIEGO
POTRZEBNA! VI-VII 1946

SILNA WOLA JEST TO CIĄGŁA
WALKA I ZWYCIĘŻANIE
-IX-49

Autorem tych słów i całego „zwykłego” zeszytu jest Ignacy Sieradzki – mój dziadek. Urodził się 29 lipca 1932 r., a więc tuż przed wybuchem II wojny światowej. Pisząc te słowa, miał zaledwie 12 lat. Mimo młodego wieku widać mądrość i dojrzałość wypowiedzi. W pamiętniku dziadek opisał zwyczajne życie, ale w niezwykle trudnym czasie. Jest jak w filmach Hitchcocka – najpierw trzęsienie ziemi, a potem napięcie nieprzerwanie rośnie.

Zapisy chłopca rozpoczynają się kilka dni przed wybuchem Powstania Warszawskiego. Rodzina się rozdzieliła. Ojciec małego Ignasia, Makary Sieradzki, został w Warszawie, aby walczyć w Powstaniu Warszawskim (walczył na Powiślu w plutonie dowodzenia batalionu „Tum”, Zgrupowania „Kryśka”), mama razem ze starszym synem, Janem, została w Wesolej pod Warszawą, a Ignacy pojechał do rodziny. Miał tam być tylko kilka dni, ale los tak pokierował życiem, że rodzina spotkała się dopiero po kilku miesiącach.

Słowa dziecka: *Zajęta jest Berezę Kartuzką, Białowieżą [...] Większość ludzi przypuszcza, że bolszewicy przyjadą niedługo potrafią zmrozić krew w żyłach. Niewiarygodnym jest, aby dwunastolatek, aż tak szybko dorósł, aby tak trzeźwo patrzył na otaczającą rzeczywistość. Opisywał ją niemal dzień po dniu. Zapis z dnia 21 lipca 1944 r. wstrząsnął mną bardzo mocno: *Hitler raniony śmiertelnie. Bomba upadła 2 metry od niego. Mówią, że zdechł. W Berlinie zamieszki. Pod tak drastycznym opisem znajduje się rysunek dziecka – pociąg. Nieco niżej kolejne zdania: *Ludzie powiadają, że w Warszawie jest pożar, że Warszawę całą burzą, a ludzi zdolnych do roboty za druty, a niezdolnych pod mur.***

Mały Ignaś wciąż wypatrywał rodziców, nie miał od nich żadnych wieści. Bardzo za nimi tęsknił. Dopiero 6 lutego 1946 r. poznał przyczynę tak długiej ich nieobecności. W dniu 7 lutego 1945 r. tak zapisał w swoim pamiętniku: *Otóż wczoraj 6-II-1945 przyszła mamusia, bardzo zbiedniała i przyniosła wieść Hiobową. Mianowicie Jasio nie żyje [starszy brat Ignacego]. Życie zakończył dnia 11-IX od kuli rosyjskiej. Żal jaki mnie ogarnął z tego powodu nie da się opisać. Z naszych rzeczy, które zostały w Warszawie nic nie zostało. Wszystko zostało skradzione. Ale to nic w porównaniu do Jasia.*

Tuż przed zakończeniem wojny rodzina powróciła do Warszawy. Niestety, już bez najstarszego syna. Miasto było w zgłiszczach. Dzięki relacjom chłopca można przenieść się na chwilę do tamtego czasu: *Byłem na spacerze na terenie byłej dzielnicy żydowskiej. Pozostałości z domów to gruzy do wysokości jednego piętra. B. rzadko się zdarzają szkielety spalonych domów [19-III-1945]. [...] Dzisiaj byłem na spacerze na Starym Mieście. Okropne są tam gruzy. Kościół*

garnizonowy na Długiej jest trochę podniszczony, ale jeszcze dobry. Na Krakowskim Przedmieściu w czterech kościołach może się odprawiać, a mianowicie: Wizytek, Św. Krzyża, Św. Józefa i Św. Anny, chociaż Św. Krzyża jest zburzony (odprawia się w podziemiach), a Św. Anny jest spalony (odprawia się w kruchcie) – 8-IV-1945.

Mój dziadek w swoim pamiętniku opisuje również czasy tuż po wojnie. Widać, że interesowały go sprawy państwa, mimo bardzo młodego wieku, bo nawet wypisał skład Rządu Jedności Narodowej oraz skomentował wybory: *W dniu dzisiejszym [19-I-1947] odbyły się wybory poprzedzone odpowiednią propagandą. Ordynacja wyborcza nie jest przestrzegana, głosowanie odbywa się bez zastan. Występuje terror, zmuszają do głosowania na listę [P.P.R, P.P.S, SL, SD i ZZ – tzw. „Blok Stronnictw Demokratycznych”] Bloku Nr 3. W lokalu P.S.L wybito szyby. O.R.M.O i M.O. bije i aresztuje chłopców rozdających numery listy P.S.L. 4. Wyniki wyborów na pewno zostaną sfałszowane. Po wyborach jest przewidziany terror polityczny. Będą robili co będą chcieli mając prawne uzasadnienie. Przypuszczalnie Anglia i S.Z.A nie uznają wyborów, cofną swe przedstawicielstwa, a wtedy oni będą robili co będą chcieli.*

Rodzina Sieradzkich wielokrotnie ryzykowała życiem w czasie okupacji niemieckiej, m.in. gdy ukrywała trzy Żydówki, za co w 1991 r. jej członkowie, Helena i Makary Sieradzcy otrzymali tytuł Sprawiedliwy wśród Narodów Świata (nr 4784 na liście Instytutu Yad Vashen), ale po wojnie ryzykowali równie mocno.

Wydawałoby się, że zakończenie wojny zakończy również trudy życia moich przodków, ale niestety tak się nie stało. Jak zapisał w swoim pamiętniku w dniu 28 maja 1947 r. czternastoletni wówczas Ignacy: *W rodzinie naszą uderzył grom, którego skutki są okropne. Ojciec i Matka aresztowani, mieszkanie zamknięte i zaplombowane. [...] Koło 9.00 wieczorem weszło do mieszkania pięciu cywilnych mężczyzn. Trochę później jeden z nich (ich dowódca mówiący z rosyjskim akcentem) wyszedł, a czterech zostało. [...] 8.V. po południu przyszedł pewien pan, o którego, o ile wiem, im chodziło. Zatrzymali go osobno od nas i od razu wywieźli.*

Co było powodem tej sytuacji? Kim był „pewien pan”? Helena i Makary Sieradzcy, moi pradziadkowie, przyjaźnili się z rotmistrem Witoldem Pileckim. Zaraz po wojnie, w 1946 r., powracający z niewoli w Murnau rotmistrz Pilecki skontaktował się z nimi, proponując odnowienie współpracy konspiracyjnej. Pradziadkowie, a w szczególności pradziadek Makary, przystał na propozycję, gdyż w 1940 r. wstąpił do konspiracji, organizacja nazywała się Tajna Armia Polska, a rotmistrz Pilecki go zaprzyęgał. W związku z tym, że był Zastępcą Naczelnika Wydziału Ogólnego Kuratorium Okręgu Szkolnego Warszawskiego, jego zadaniem w grupie

Pileckiego było m.in. zbieranie informacji na temat zmian w programie nauczania wprowadzonych przez władze komunistyczne.

Rotmistrz Pilecki ukrywający się pod przybranym nazwiskiem Roman Jezierski wielokrotnie przebywał w mieszkaniu Sieradzkich, gdzie był konspiracyjny lokal kontaktowy.

Jak opowiadała mojemu tacie jego babcia, tuż przed aresztowaniem lokal był obserwowany przez służbę bezpieczeństwa. To właśnie w ich mieszkaniu służby odnalazły skrytkę z bronią. W dniu 6 maja 1947 r. funkcjonariusze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego wtargnęli do mieszkania Sieradzkich położonego w Warszawie przy ul. Pańskiej 85/6. Moi pradziadkowie zostali aresztowani, a w dniu 8 maja 1947 r. w mieszkaniu ich został również aresztowany sam rotmistrz Pilecki, który, nie wiedząc o założonym „kotle” i aresztowaniu właścicieli mieszkania przy Pańskiej, przyszedł do Sieradzkich. To właśnie zdarzenie ze szczegółami opisał w swoim pamiętniku niespełna czterastoletni mój dziadek.

Aresztowanie rotmistrza Pileckiego i jego współtowarzyszy, w tym moich przodków, wiązało się z tragedią wielu ludzi. Mój dziadek, który w tamtym czasie był dzieckiem, został wyrzucony na bruk, mieszkanie w kamienicy przy ul. Pańskiej zostało skonfiskowane przez służby. Młody człowiek tułał się po rodzinie bez środków do życia, a co najważniejsze, bez rodziców.

W dniu 3 marca 1948 r. przed Rejonowym Sądem Wojskowym w Warszawie rozpoczął się proces tzw. „grupy Witolda”. Na ławie oskarżonych obok rotmistrza zasiedli Maria Szelałowska, Tadeusz Płużański, Witold Różycki, mój pradziadek Makary Sieradzki, Maksymilian Kaucki, Ryszard Jamontt-Krzywicki oraz Jerzy Nowakowski. Oprócz pokazowego procesu głównego „grupy Witolda” oskarżonej o szpiegowską działalność i współpracę z okupantem hitlerowskim odbyły się również procesy odpryskowe. W jednym z nich sądzona była prababcia, Helena Sieradzka.

Rotmistrza Pileckiego skazano na karę śmierci. Mimo próśb przyjaciół oświęcimskich (należy pamiętać, że rotmistrz dobrowolnie trafił do Oświęcimia, gdzie nie dość, że był głównym organizatorem konspiracji w obozie, przekazywał wiadomości poza druty KL Auschwitz, uciekł z obozu razem z dwoma więźniami: Janem Redzejem i Edwardem Ciesielskim, to jeszcze opracował „raporty Pileckiego”, czyli sprawozdania o ludobójstwie w Auschwitz) i żony rotmistrza Pileckiego prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Wyrok wykonano w dniu 25 maja 1948 r. w więzieniu mokotowskim przy ul. Rakowieckiej w Warszawie – strzałem

w tył głowy. Wykonawcą wyroku był Piotr Śmietański, zwany „Katem z Mokotowa”. Niestety, do dnia dzisiejszego ciało Witolda nie zostało odnalezione, mimo starań wielu ludzi, w tym dzieci rotmistrza – Pani Zofii i Pana Andrzeja.

Mój pradziadek, Makary, został skazany na karę dożywotniego więzienia, a prababcia, Helena, na 7 lat więzienia (ostatecznie kara została zamieniona na 6 lat). Pradziadek łącznie w więzieniu spędził 9 lat i 5 dni, z czego 7 dni w piwnicy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przy ul. Koszykowej 6 w Warszawie, rok i 5 miesięcy w areszcie śledczym przy ul. Rakowieckiej 37, resztę w Więzieniu Karnym w podpoznańskich Wronkach, z czego 17 miesięcy w izolatce. Na skutek amnestii z więzienia został zwolniony w 1956 r. Prababcia odbyła karę w więzieniu kobiecym w Fordonie. W związku z tym, że była nauczycielką języka polskiego, uczyła więźniarki (niektóre z nich nie potrafiły pisać ani czytać). Niestety, po wyjściu z więzienia, władze komunistyczne nie pozwoliły jej już nigdy uczyć dzieci i młodzieży.

Małoletni wówczas dziadek pozostał bez środków do życia. Dzięki opiece ludzi dobrej woli, dzięki rodzinie i przyjaciołom swoich rodziców udało mu się nie tylko przeżyć, ale również wykształcić. Mimo nieprzyjęcia na Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego (władze komunistyczne wyjątkowo gorliwie starały się utrudnić dziadkowi edukację), ukończył polonistykę na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Nie poddał się. Niemal całe życie poświęcił literaturze, pracując m.in. jako kierownik w Bibliotece Instytutu Badań Literackich w Warszawie.

Co się stało z pamiętnikiem? Mój tato jest bardzo wrażliwy na pamięć o historii naszego kraju, w szczególności okresu komunistycznego. Przekazał pamiętnik tam, gdzie został zamordowany rotmistrz Pilecki. Oryginał znajduje się w sejfie Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL – w dawnym więzieniu mokotowskim przy ul. Rakowieckiej 37 w Warszawie. Muzeum, wspólnie ze szczecińskim oddziałem Instytutu Pamięci Narodowej, planuje wydać pamiętnik Ignacego Sieradzkiego. W ten sposób prawda historyczna ujrzy światło dzienne, młodzi ludzie będą mogli odkryć falszowaną do tej pory przez komunistyczną władzę prawdę.

Mogłoby się wydawać, że znalezisko pochodzące z domowych zbiorów to nic takiego, kilka pożółkłych kartek spisanych przez kilkunastolatka, ale tak naprawdę jest to źródło wiedzy historycznej, cennej nie tylko dla mojej rodziny, bo stanowi pamiątkę po przodkach, ale przede wszystkim będącej bezpośrednim sprawozdaniem naocznego świadka wydarzeń, który oprócz faktów podzielił się swoimi odczuciami i wrażeniami.

Mikołaj Nowek

Zespół Szkół Stowarzyszenia Oświatowego

im. Ignacego Łukasiewicza w Dębnie

Album przywieziony z Kresów Wschodnich

*Zdjęcia są, unikalną, pamiątką,
biletem powrotnym do chwil, które minęły.*

Angela Carter

Zaproszenie do zgłębiania historii mojej rodziny

Pamiątka to najczęściej drobny przedmiot przypominający bliską osobę, jakieś szczególne miejsce lub zdarzenie. To rzecz, która związana jest z pewną historią, która skrywa jakąś tajemnicę.

Sądzę, że może nią być także jakieś wspomnienie, unikalny zapis ludzkiej pamięci utkany z obrazów, słów, zapachów, pamięci dotyku, ruchów dłoni, emocji, uczuć i olśnień...

Z tak bogatym znaczeniem tego słowa spotkałem się po raz pierwszy, gdy skończyłem siedem lat. Było słoneczne, czerwcowe popołudnie. Razem z mamą przebywałem w mieszkaniu moich dziadków. Mama z babcią porządkowały rzeczy osobiste mojego zmarłego dziadka. Gdy wszedłem do jego pokoju, kurz tańczył w promieniach słońca. Otwierane po woli drzwi starej szafy boleśnie skrzypiały. Przekładane do pudełek ubrania pachniały ulubioną wodą kolońską swojego właściciela. Mama ukradkiem ocierała łzy. Opróżniając półki z kolejnych rzeczy, nagle zrzuciła stary album schowany w głębi jednej z nich. Na dywanie, tuż obok miejsca, w którym się bawiłem samochodzikami, wylądowało maleńkie zdjęcie. Na fotografii, wykonanej techniką sepii, zobaczyłem gładko ostrzyżonego chłopca. Mama ostrożnie podnosząc zdjęcie, spojrzała na mnie i powiedziała:

– Tak wyglądał twój dziadek, Janek Kulikowski, gdy miał tyle lat, co ty dziś. Te dziurki tuż przy dolnej krawędzi zdjęcia są dowodem na to, że było ono przypięte do szkolnej legitymacji. Wypadło pewnie z tego starego albumu. Czy chcesz go ze mną obejrzeć?

Nie pamiętam, co wtedy powiedziałem. Może kiwnąłem głową? Wiem jednak, że cichutko usiadłem na dywanie obok mamy i czekałem, aż pozbiera rozsypane wokół stare kartonowe kartki ze zdjęciami i połączy je

z drewnianą rzeźbioną okładką. Z zacięciem oglądałem prezentowany przez nią album. Słuchałem opowieści związanych z ludźmi patrzącymi na mnie ze starych fotografii. Dziwiłem się, że dorośli, których znałem, byli kiedyś dziećmi, a moi krewni urodzili się i mieszkali na terenach należących po wojnie do innego kraju.

I choć wówczas nie zrozumiałem wszystkiego i nie zapamiętałem wielu napływających do mnie informacji, to tamto zdarzenie stało się zaproszeniem do zgłębiania historii mojej rodziny. Zaproszeniem, z którego nadal korzystam.

Świat zaklęty między częściami drewnianej okładki starego albumu



Album ze starymi fotografiami, który po raz pierwszy oglądałem mając siedem lat, obecnie znajduje się w mieszkaniu moich rodziców. Przechowywany jest w specjalnym kartonowym pudełku i oglądany w czasie rodzinnych uroczystości, rocznic, czy odwiedzin krewnych.

Został on zakupiony zimą 1936 r., przez moją prababcię Malwinę Bielowiczównę (po mężu Kulikowską), w zakładzie fotograficznym pana Juno, mieszczącym się przy ul. Marszałkowskiej 27 w Warszawie. Z Warszawy zawędrował do Dżisny, miasteczka położonego w dawnym województwie wileńskim. Później przejechał setki kilometrów ukryty w podwójnym dnie skrzyni z ubraniami wrzuconej do wagonu repatriantów i znalazł się na Ziemiach Odzyskanych.

Oba skrzydła okładki albumu wykonane są z pomalowanego na czarno drewna modrzewiowego. Przednią zdobią rzeźbione złocistobrązowe gałązki owocującej sosny, tylna jest gładka i nadal lśniąca.

Między jej częściami znajduje się trzydzieści kartonowych kart w kolorze naturalnego beżu. Część z nich nieco wyblakła lub, z uwagi na zniszczenia, została wymieniona na nowe. Podobnie stało się ze sznurkiem, który łączył je w całość z okładką.

Na kartkach umieszczono czterdzieści dwa zdjęcia, w większości czarno-białe, kilka w sepii oraz siedem cennych dokumentów. Pod większością znajdują się odręczne podpisy, które przygotowała moja mama, Aneta Kulikowska-Nowek, na podstawie rozmów ze swoją babcią Malwiną oraz ojcem Janem. Zdjęcia i dokumenty zostały w albumie ułożone chronologicznie i stanowią fotograficzny reportaż o losach kresowej rodziny. Sądzę, że niektóre są unikalne. Część można zaliczyć do fotografii artystycznych, a wszystkie mają dla mnie i moich bliskich wartość sentymentalną i pewną magiczną moc. Z całą pewnością mogę powiedzieć, że między częściami okładki tego albumu zakłęty został świat, którego już nie ma.

Warszawskie pamiątki z zakładu fotograficznego pana Juno

Pierwszym zdjęciem w opisywanym przeze mnie albumie jest pocztówkowy portret dwóch ładnych, eleganckich młodych kobiet. Fotografia przedstawia moją prababcie Malwinę (ur. 2.03.1910 r.) oraz jej siostrę Paulinę (ur. 24.12.1918 r.), nazywaną Paulusią. Wykonano ją w tym samym czasie i miejscu, w którym został zakupiony album. Dla obu siostrz miała być pamiątką ze spotkania w Warszawie, na które moja prababcia przyjechała z miasteczka Dżisna na Kresach Wschodnich.



Paulina i Malwina Bielowiczówny, Warszawa 1936

Ciocia Paulusia pół roku wcześniej ukończyła Warszawską Szkołę Pielęgniarstwa (utworzoną dzięki funduszom przekazanym przez Ignacego i Helenę Paderewskich) i rozpoczęła pracę w Szpitalu św. Łazarza na oddziale wenerologicznym i skórny, kierowanym przez dr. R. Nowakowskiego. Wynajęła też swoje pierwsze mieszkanie, które mieściło się w jednej z kamienic przy Marszałkowskiej.

Malwina, na prośbę matki, miała sprawdzić jak radzi sobie w stolicy młodsza siostra i spędzić z nią kilka dni. Tych kilka dni zamieniło się w trzy lata, ponieważ otrzymała posadę niani w domu szefa swojej siostry. Opuściła Warszawę dopiero w pierwszych dniach sierpnia 1939 r., wyjeżdżając na urlop w rodzinne strony. Żegnając się z siostrą, nie sądziła, że zobaczą się dopiero w 1946 r.

Paulusia niemalże całą wojnę spędziła w stolicy. We wrześniu 1939 r. szpital, w którym pracowała przyjmował rannych na wszystkich swych oddziałach. Operacje odbywały się pod ciągłym ostrzałem i bombardowaniem niemieckiego lotnictwa. Ludzi, którzy umierali na terenie tej placówki medycznej chowano w przyszpitalnym ogrodzie.

Podczas okupacji często była zmuszona pielęgnować niemieckich oficerów, którzy byli stałymi bywalcami oddziału chorób wenerycznych. Oprócz pracy działała także w konspiracji, była żołnierzem AK. 1 sierpnia 1944 r. o godzinie „W” zgłosiła się do powstania warszawskiego. W czasie powstania zaręczyła się z Witoldem, studentem ostatniego roku medycyny, który zginął w 43. dniu zrywu, podczas walk na Łazienkowskiej. Po tej miłości pozostał jej smutek w oczach i pierścionek z maleńkim brylantem, który nosiła do śmierci. Powstanie przeżyła, choć nie chciała. Nie udało jej się znaleźć też mogiły ukochanego.

Po upadku powstania, z uwagi na brak munduru, uznana za cywila, trafiła do obozu przejściowego w Pruszkowie. Stamtąd wydobył ją i ocalił przed wywózką na roboty do Niemiec dr Nowakowski, wobec którego pewien niemiecki porucznik miał dług wdzięczności.

Po wojnie ciocia Paulusia nie wróciła do pracy w szpitalu, pozostała jednak w Warszawie. Twierdziła, że podczas wojny dość się naparzyła na ludzkie cierpienie. Pracowała w „Cepeli”, później jako sekretarka w Ministerstwie Handlu Zagranicznego. W wieku czterdziestu lat wyszła za mąż za Edmunda Jankowskiego, tłumacza literatury angielskiej. Byli niezwykle zgodnym małżeństwem, parą najlepszych przyjaciół. Zajmowali niewielkie mieszkanie z tarasem przy ul. Wandy 9 na Saskiej Kępie. Utrzymywali niemalże rodzinne kontakty z dr. Nowakowskim,

jego żoną i dwiema córkami. Mieli szczęście bliżej poznać i gościć u siebie Adolfa Dymśkę i Mieczysława Fogga. Wspólnie zwiedzili Wielką Brytanię, Włochy, co dla obywateli komunistycznego kraju było prawie niewykonalne. Nie mieli własnych dzieci i może dlatego dzieci i wnuki Malwiny, mojej prababci, traktowali jak własne i współuczestniczyli w ich wychowaniu oraz edukacji.



Paulina Bielowiczówna



Edmund Jankowski

Moja mama, Aneta, do dziś ze wzruszeniem wspomina wszystkie swoje wakacje, które spędziła w Warszawie u ciotki i wujka. Spaceruje po Starówce, karmienie wiewiórek w Łazienkach, bitą śmietaną z rodzynkami palaszowaną na ostatnim piętrze Pałacu Kultury i Nauki, pierwszą wizytę w Operze Narodowej, lody w kawiarence przy Francuskiej, przed którą później stanął pomnik Agnieszki Osieckiej, oraz znicze zapalone na grobach Rudego, Alka i Zośki...

Pamięta też, jak wujek Edmund opowiadał jej o akcji pod Arsenalem, która wydarzyła się 26.03.1943 r., równo trzydzieści lat przed jej urodzinami.

Dwa lata temu mama zabrała mnie na wycieczkę do Warszawy. Pokazała te wszystkie miejsca, które poznała w dzieciństwie. Wspólnie zwiedziliśmy też Muzeum Powstania Warszawskiego oraz POLIN. Muzeum Historii Żydów Polskich. Odwiedziliśmy też ciotkę i wujka... na Starych Powązkach, gdzie spoczęli obok dr. Nowakowskiego, niedaleko Alei Zasłużonych.

Kresowe zdjęcia Epsztajna

Na piątej, szóstej i siódmej stronie albumu znajdują się fotografie z kresowej Dżisny. Pierwsza zbiorowa przedstawia męską linię rodu Kulikowskich oraz ich szwagrów i kuzynów zgromadzonych z okazji trzydziestej piątej rocznicy ślubu moich prapradziadków, Heleny (z domu Marculewicz, ur. 1880 r.) i Stanisława (ur. 1860 r.). Według informacji posiadanych przez mojego dziadka Jana, uroczystość ta odbyła się w marcu 1936 r., a wspomniane zdjęcie (podobnie jak kilka kolejnych) wykonał fotograf miejski pan Epsztajn.



Dom rodziny Kulikowskich, Dżisna 1936

Na kolejnych czterech zdjęciach widoczne są najważniejsze dla moich bliskich miejsca w rodzinnym miasteczku: dom prapradziadków, kościół, szkoła, most na Dźwinie, oraz parostatek przewożący mieszkańców i letników z jednego brzegu rzeki na drugi.



Szósta fotografia, będąca portretem mojego pradziadka Antoniego (ur. 24.01.1916 r.), została wykonana w 1944 r. i ukazuje zamysłonego mężczyznę w mundurze wojskowym siedzącego na grzbiecie konia o imieniu Dragon.



Antoni Kulikowski, Dzisna 1944 r.

Wszystkie wymienione przeze mnie zdjęcia i towarzyszące im dokumenty pomogły w ustaleniu pewnych faktów...

Kulikowscy, moi krewni po kądzieli, posiadają udokumentowaną historię rodową sięgającą XV wieku. Należeli do średniozamożnej szlachty herbowej (Kulikowscy herbu Drogomir) posiadającej ziemię w okolicach Kulikowa (obecnie Ukraina) oraz Dżisny (obecnie Białoruś), miasteczka leżącego na północ od Wilna. W okresie międzywojennym byli właścicielami dwóch parostatków pływających po Wilii i Dźwinie. Żyło im się dostatnio, a ich dzieci mogły się kształcić.

Wspomniana Dzisna przed II wojną światową była miasteczkiem z charakterystyczną, drewnianą zabudową, którego połowę mieszkańców stanowili Żydzi. Otoczona rzeczonym rozlewiskiem i wiśniowymi sadami stała się urokliwym miejscem odpoczynku dla mieszkańców Wilna oraz okolic. Ta licząca około pięciu tysięcy mieszkańców miejscowość była najbardziej na północny wschód wysuniętym przyczółkiem II Rzeczypospolitej. Jedno z jej historycznych przedmieść, położone na drugim brzegu Dźwiny (rzeka graniczna), znalazło się poza ówczesnymi granicami Polski. Przedmieście połączone było z miastem żelaznym mostem. Z uwagi na położenie w miasteczku znajdowała się strażnica Korpusu Ochrony Pogranicza, zwana białym domem, a na ulicy 3 Maja stał krzyż i słup graniczny.

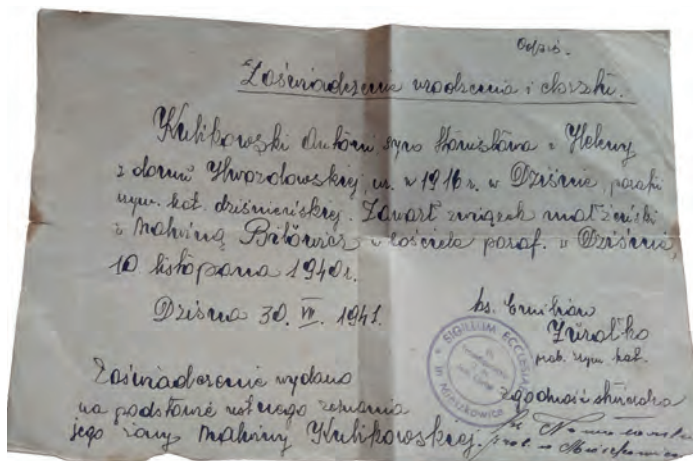
W tamtych czasach życie kulturalne mieszkańców koncentrowało się wokół domu ludowego z salą teatralną oraz Koedukacyjnego

Humanistycznego Gimnazjum im. ks. Grzegorza Piramowicza. Był tam też oczywiście zabytkowy, barokowy kościół pw. św. Tekli, cerkiew, szpital oraz elektrownia wodna. Najważniejszym dniem, kiedy miasteczko zapełniało się tłumem gości z bliższej i dalszej okolicy, był tzw. fest, czyli odpust, który poprzedzało czterogodzinne nabożeństwo.

Dziśnianie zajmowali się głównie handlem, hodowlą koni i bydła, rolnictwem oraz rybołówstwem. Polacy żyli w zgodzie z Żydami, a polskie i żydowskie dzieci uczyły się w tej samej szkole. Rada miasta i nauczyciele dbali o to, by każdy uczeń mógł korzystać z lekcji religii zgodnie z przyjętym wyznaniem.

Szczycili się tym, że podobno w r. 1823 przez pewien czas w tu-tejszej kaplicy dworskiej, na przedmieściach Dżisny ukrywał się Adam Mickiewicz, a w 1867 roku znaleziono przy rynku skarb – 136 srebrnych monet arabskich.

W Dziśnie poznali się i pobrali (10 listopada 1940 r.) moi pradziadkowie, Malwina Bielowiczówna i Antoni Kulikowski. Tam też przyszło na świat ich dwoje dzieci. Pradziadek prowadził kilkunastohektarowe gospodarstwo rolne słynące z urodzajnych pól, pięknych sadów i stawów pełnych ryb. Jego pasją była hodowla koni. Prababcia zajmowała się dziećmi, domem i rozległym ogrodem.



We wrześniu 1939 pradziadek, wachmistrz 12 pułku ułanów wileńskich stanął do walki z wrogiem zza wschodniej granicy. Później, chcąc uniknąć wcielenia do rosyjskiej armii, stał się partyzantem, ukrywał w lesie i rzadko odwiedzał rodzinę, która dla swojego bezpieczeństwa czasowo wyprowadziła się do Wilna. W 1944 roku został schwytany przez władze sowieckie i zesłany na Kamczatkę. Tam pracował do 1958 roku w kopalni złota. Osiem lat po powrocie do Polski zmarł na pylicę płuc.

Prababcia Malwina wraz ze swoją matką Pauliną Bielowiczową oraz dwójką dzieci, Jankiem (ur. 9.09.1941 r., a nie jak wynika z dokumentów w 1942 r.) i Basią (ur. 4.12.1944 r., a nie 1945 r.), 12 kwietnia 1946 roku została zmuszona do przesiedlenia z rodzinnej Dżisny na Ziemię Odzyskane. Z dokumentów repatriacyjnych wynika, że na trasie jej wędrówki znalazły się: Wilno, Baranowicze, Brześć, Helm, Lublin, Dęblin, Kielce, Łódź, Kalisz, Leszno, Zielona Góra, Chojna i... Mieszkowice. W tym niewielkim poniemieckim miasteczku, które początkowo wydawało się straszne i obce, na nowo musiała organizować sobie życie i tworzyć rodzinny dom.

Опись оставшегося имущества

гражданин Беловичева Мария Павловна (имя, фамилия, отчество)

Имущество (наименование строений)	Кол-во частей	Категория	Описание строения (площадь, материал, состояние)	Год постройки	Оценочная стоимость в руб.	Содержание имущества	Оценочная стоимость в руб.
1. Строения						Сельскохозяйственные постройки	
Деревянные строения (дом, сарай, хлев и др.)						Итого по строениям	
Складские помещения						Сельскохозяйственные орудия	
Сараи, конюшни и др. строения						Посадочные деревья	
						Сельскохозяйственные животные	
						Сельскохозяйственные машины	
						Сельскохозяйственные орудия	
						Сельскохозяйственные инструменты	
						Сельскохозяйственные материалы	
						Сельскохозяйственные продукты	
						Сельскохозяйственные изделия	
2. Промышленные предприятия						Сельскохозяйственные постройки	
Мельница						Сельскохозяйственные орудия	
Машиностроение						Сельскохозяйственные животные	
Промышленные здания						Сельскохозяйственные материалы	
Кухня						Сельскохозяйственные продукты	
						Сельскохозяйственные изделия	

Общая сумма оставшегося имущества составляет _____ руб.

М. П. Подпись Paulina Bielowiczowa (подпись)
Malwina Bielowiczowa (подпись)
Jankiel Bielowicz (подпись)

РЕШЕНИЕ ОКРЕГОВОГО ПОДСИДКА КОМИТЕТА ВЫВОЛА НАРОДОВОГО В СПЕШИ СЛУЧАЯХ

#5130

ЭВАКУАЦИОННЫЙ АРКУШ

2. kwietnia 1946 Bielowicz Paulina e Antoniego

Niniejszym zaświadczam, iż obywatelka Bielowicz Paulina e Antoniego narodowości Polska mieszkająca w miasteczku Mieszkowice powiatu Żyrardowski w województwie Świętokrzyskim została ewakuowana z terenów województwa polskiego w 1946 roku do województwa Świętokrzyskiego w powiat Żyrardowski gminy Wyszynki.

Razem z nią ewakuacji się zaobserwowała jej rodzina:			
Nazwisko, imię, tań ojca	Stosunek do głowy rodziny	Miejsce i rok urodzenia	UWAGI
<u>Malwina Malwina</u>	<u>matka</u>	<u>1910</u>	
<u>Basia Antoniego</u>	<u> córka</u>	<u>1942</u>	
<u>Barbara</u>	<u> córka</u>	<u>1945</u>	

Obywatel Bielowicz Paulina e Antoniego przewozi ze sobą: koszt. —, biletu rozległego —, świni —, owiec —, kóz —, inventarza plechów —, słowników —, świń —, świń —, artykułów żywnościowych — cent, z czego zboża i artykułów słokowych — cent, rzeczy użytku domowego — cent, reszty — cent.

S. Kur Przedstawiciel rejonowy Janina Bielowiczowa

Przewodnicząca Okręgowego Polskiego Komitetu Wywołania Narodowego Janina Bielowiczowa

Czułjne oko aparatu pani Urbanowskiej

Życie polskich repatriantów (choć historycznie nimi nie byli) na Pomorzu Zachodnim początkowo wcale nie należało do najłatwiejszych. Niepewność dnia i nocy, lęk przed szabrownikami i poczucie obcości powodowały, że starali się żyć stadnie, wśród bliskich, w jednym mieszkaniu z ciotkami, wujkami, kuzynami, a nawet sąsiadami, z którymi przyjechali ze Wschodu.

Ten trudny czas tak wspominał w swoim pamiętniku mały Janek Kulikowski:



Janek Kulikowski,
Mieszkowice 1947

„Już trzy lata mieszkamy w Mieszkowicach. Nie jest tak źle... Na początku, czyli zaraz po przyjeździe zajęliśmy piętrowy dom przy ul. Żymierskiego 6. Zamieszkaliśmy tu wszyscy: babunia Paulina Bielowiczowa, wujek Franek z wujenką Janką, mama Malwina, siostra Basia i ja, Janek Kulikowski.

Babunia powtarzała, że musimy trzymać się razem, bo może Niemcy jeszcze tu wrócą i trzeba będzie uciekać. Tym z Ukrainy też nie można było ufać. A nas z Dżisny, z Wileńszczyzny było tu niewielu. Czerniawscy, Kuryłowicze, Szadurcy, Bielowicze, Bielawscy, Wróblewscy, Kijana, Stacewicze, ks. Nowotarcki i my.

Na początku bałem się tak samo jak wtedy, gdy podczas podróży pociągiem zachorowaliśmy z Basią na wrzody. Nie byłem pewny, czy przeżyjemy, czy nie wyrzucą nas. Sam nigdy nie wychodziłem z domu. Byli tu Rosjanie, młode Niemki, które wyszły za mąż za Rosjan, repatrianci ze Lwowa, Polacy z centralnej Polski i szabrownicy.

Dziś jest spokojnie. Znam tu prawie wszystkie kąty. Rosjanie wyjechali. Miasteczko nie jest już dla mnie obce, a wieczorne cienie nie są straszne.

Nie chcę zasmucać mamy, ale Dżisny prawie nie pamiętam. Tylko czasem śni mi się wiśniowy sad, tata wylawiający szczupaki ze stawu i papierowe łódeczki puszczane na wodę...”



I Komunia Święta Jana Kulikowskiego,
Mieszkowice 1949

Z czasem wszystko udało się jednak poukładać. Moja prababcia pracowała jako woźna w Szkole Podstawowej im. Mieszka I w Mieszkowicach. Ze „zbiorowego” mieszkania przy ul. Żymierskiego 6 (w czasie burzenia kamienicy, w której się znajdowało, znaleziono pokaźny zbiór monet niemieckich z czasów cesarza Wilhelma II), przeprowadziła się z matką (Pauliną Bielowiczową) oraz dwojgiem dzieci (Jankiem i Basią) do kamienicy sklepowej przy ul. Dąbrowszczaków 25.

W nowym mieszkaniu doczekała się też powrotu męża zesłanego przez NKWD w głąb ZSRS. I choć lata zsyłki spowodowały, że oddalili się od siebie, to była wdzięczna, za to, że przeżył, że dzieci mogą poznać swego ojca.



Antoni Kulikowski (pierwszy z lewej),
Kamczatka 1954



Malwina Kulikowska z Dziećmi –
Basią i Jankiem, Mieszkowice 1955

Jej syn Jan (mój dziadek) był dobrym uczniem, gorliwym ministrem i świetnym sportowcem. Ukończył Liceum Ogólnokształcące w Gryfnie i rozpoczął studia. Córka Basia została absolwentką Liceum Pedagogicznego. Oboje wybrali zawód nauczyciela i rozpoczęli pracę w szkołach podstawowych na terenie gminy Mieszkowice. Tu też założyli swoje rodziny. Basia w marcu 1970 r. wyszła za mąż za Jana Bilińskiego, nauczyciela Zespołu Szkół Zawodowych w Chojnie. Janek w lutym 1972 r. ożenił się z Alicją Dzitkowską, śliczną kasjerką z kina „Przedwiośnie” w Dębnie, która przyjechała na Pomorze Zachodnie spod Kielc. Każda z par doczekała się jednego dziecka. Kulikowskim urodziła się córka Aneta (ur. 26.03.1973 r.), Bilińskim – syn Tomasz (ur. 16.11.1976 r.).

Jan i Alicja od czerwca 1972 r. pracowali razem w kinie „Mieszko” w Mieszkowicach. Początkowo on był kierownikiem tej instytucji, cieszącej się dużą popularnością wśród Mieszkowiczów, a od 1976 r. funkcję tę przejęła żona i realizowała swoje zadania do roku 1990 r., kiedy to decyzją władz miasta kino zamknięto. Jan pracował też jako kierownik Spółdzielni Kółek Rolniczych w Mieszkowicach, oraz inspektor obrony cywilnej w urzędzie miasta. Choć oboje kilkakrotnie zmieniali pracę, do końca swojego życia związani byli z Mieszkowicami i jako radni miejscy reprezentowali mieszkalców miasteczka.

Do początku lat osiemdziesiątych dziadkowie dokumentowali ważne rodzinne wydarzenia, korzystając z usług pani Janiny Urbanowskiej, właścicielki małego zakładu fotograficznego mieszczącego się w Mieszkowicach przy placu Wolności. Energiczna pani fotograf miała w zwyczaju często zaskakiwać ludzi, robiąc im zdjęcia z ukrycia, wychwytyjąc czujnym okiem obiektywu swojego aparatu nietuzinkowe sytuacje i rejestrując wyjątkowe ujęcia podczas uroczystości kościelnych lub świeckich. Stąd najliczniejszą grupą zdjęć w starym albumie są te wykonane właśnie w tym czasie.

W kolejnych latach amatorskie zdjęcia moich krewnych zapełniały następne albumy, tworząc dalszy ciąg rodzinnej opowieści. I choć fotografie stawały się kolorowe, a ich jakość coraz lepsza, to najpiękniejszymi dla mnie pozostaną już na zawsze te ze starego albumu oprawionego w drewnianą okładkę. W nich przecież drzemie jeszcze wiele tajemnic.

Fotografie - unikalne kęsy czasu, które można trzymać w dłoniach

Przeoglądanie po raz kolejny pamiątkowego albumu sprawiło, że uporządkowałem swoją wiedzę na temat rodziny ze strony mojej mamy. Dostrzegłem też, że mimo upływu czasu fotografia jest nadal unikalnym źródłem wiedzy historycznej. Przenosi oglądającego w przeszłość, wprowadza w świat odległych zdarzeń, pozwala wielokrotnie brodzić w rzece czasu w poszukiwaniu odpowiedzi na nurtujące pytania. To za jej sprawą zatrzymane zostają w czasie czyjeś emocje, spojrzenia, uczucia. Warto więc traktować ją z szacunkiem, nawet wówczas, gdy nie jest dziełem sztuki.

Obecnie w Mieszkowicach mieszka już niewielu potomków kresowych Polaków. Niektórzy niewiele wiedzą o swoich przodkach i nie zawsze chcą się pochylać nad dziejami swoich rodzin, rzuconymi w kąć na strychu starymi zdjęciami. Może właśnie dlatego z podziwem patrzę na swoją mamę – nauczycielkę, która wszystkim swoim dzieciom, tym własnym, i tym szkolnym, stale uzmysławia, jak ważne jest wiedzieć,

kim się jest i skąd się pochodzi. Jestem jej wdzięczny, że zadbała o to, abym ja miał świadomość skąd przyszli moi bliscy, komu siebie zawdzięczam oraz abym mógł odkryć dokąd powinienem iść.

Mieszkowice 2021

Wiktoria Stępczyńska

Szkoła Podstawowa nr 4

im. mjr. Henryka Sucharskiego w Stargardzie

Historia pamiątek rodzinnych. Pamiętnik Wiktorii Stępczyńskiej

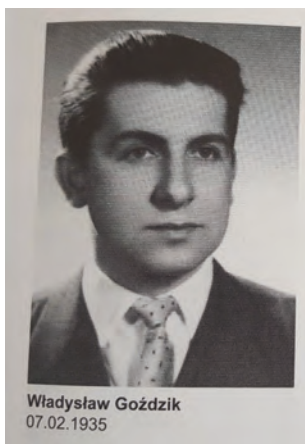
Istota wspomnień polega na tym, że nic nie przemija.

Elias Canetti

Stargard, dnia 3 marca 2021 r.

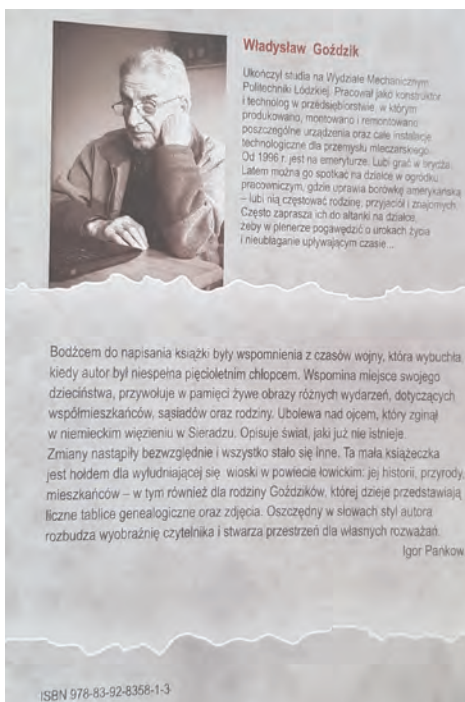
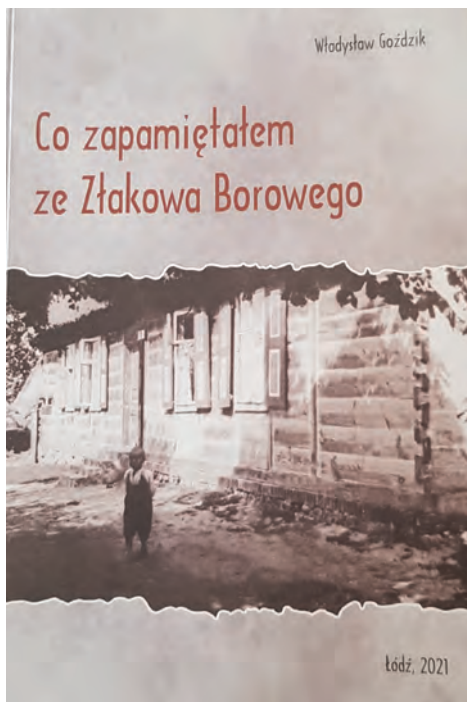
Usiadłam przy oknie i spojrzałam na niebo. Wydawało się groźne. Ciemne chmury pędziły popychane przez silny wiatr. Czekalam na powrót rodziców z pracy. Chciałam dowiedzieć się czegoś na temat rodzinnych pamiątek. Z zamyślenia wyrwał mnie dzwonek telefonu. W słuchawce usłyszałam głos babci Halinki. Postanowiłam skorzystać z okazji i zapytałam babcię o rodzinną pamiątkę. Myślałam, że usłyszę opowieść o pięknym pierścionku, starej fotografii albo cennym obrazie. Ku mojemu zdziwieniu babcia zaczęła mi opowiadać o nożycach do cięcia drobiu. Te nożyce znajdują się w posiadaniu mojego wujka – Władysława Goździka.

Wujek Władysław jest mężem siostry mojego świętej pamięci pradziadka. Pradziadek – Jan Teper – miał siostrę Adelę Teper, która wyszła za mąż za Władysława Goździka, urodzonego 7 lutego 1935 r. w rodzinie Jana i Ludwiki Goździk w Złakowie Borowym. Babcia Halinka zaczęła wspominać Włodzia i jego najbliższą rodzinę.



Opowiadała mi o dzieciach wujka: córce Małgorzacie i synu Witku. Wujek z synem Witkiem i jego żoną Reginą gościli na weselu moich rodziców – Jolanty i Tomasza Stępczyńskich. Ciocia Adela pochodzi z Rabki. Tam też mieszka do dziś moja prababcia Maria Teper, z domu Kluk. U prababci w Rabce byłam wiele razy. Lubiałam tam jeździć. Latem z rodzicami chodziłam na spacerzy do pięknego dużego parku. Z kolei zimą uczyłam się jazdy na nartach na pobliskich stokach. Prababcia zawsze gotowała dla mnie pyszne domowe obiady i robiła smaczne kompoty z owoców z własnego ogrodu. Pradziadka Jana niestety nie poznałam. Zmarł jeszcze przed moimi narodzinami. Słyszałam o nim wiele wspaniałych opowieści. Babcia Halinka wspominała swojego tatę i młode lata spędzone w Rabce.

W końcu zapytałam, dlaczego tak cenne są nożyce do cięcia drobiu. Okazało się, że o tych nożycach mój wujek – Władysław Goździk – napisał w książce pt. „Co zapamiętałem ze Złakowa Borowego”. Książkę mojego wujka wydał Mariański Ruch Inicjatyw Ekonomiczno-Społecznych. To dzieło również stanowi cenną pamiątkę rodzinną. Wujek przekazał mojej babci i moim rodzicom po egzemplarzu tej książki. Babcia Halinka zachęcała mnie do przeczytania wspomnień wujka z czasów II wojny światowej. Wojna ta wybuchła, gdy wujek był niespełna pięcioletnim chłopcem. Byłam dumna, że członek mojej rodziny wydał takie ważne, historyczne dzieło.



Stargard, dnia 04 marca 2021 r.

W biblioteczce moich rodziców odnalazłam książkę wujka Władysława. Dokładnie obejrzałam okładkę tego cennego, rodzinnego dzieła. Redaktor Igor Pańkow pisze, że wujek w tej książce wspomina miejsce swojego dzieciństwa, przywołuje w pamięci żywe obrazy różnych wydarzeń, dotyczących współmieszkańców, sąsiadów oraz rodziny. Ubolewa nad ojcem, który zginął w niemieckim więzieniu w Sieradzu. Opisuje świat, jaki już nie istnieje. Ta mała książeczka to hołd dla wyludniającej się wioski w powiecie łowickim: jej historii, przyrody, mieszkańców – w tym także dla rodziny Goździków, której dzieje przedstawiają liczne tablice genealogiczne oraz zdjęcia. Ciekawiło mnie bardzo co wujek zapamiętał ze Złakowa Borowego i dlaczego nożyce do cięcia drobiu stanowią pamiątkę rodzinną.

Wujek wspominał pierwszy dzień okupacji. Jego tata – Jan Goździk – pobierał wodę ze studni, kiedy wojskowym wozem podjechało dwóch niemieckich żołnierzy. Zatrzymali się, żeby napić się wody. Wujek – wówczas mały chłopiec – pobiegł po kubki. Niemcy kazali gospodarzowi wypić wodę i dopiero potem opróżnili swoje naczynia. Rodzina wujka przebywała w schronie. W tym czasie wielu żołnierzy zostało zabitych przez Niemców. Na podstawie danych z Urzędu Gminnego w Zdunach wujek szacuje, że w Złakowie Borowym poległo ich siedmiu. Po kapitulacji Warszawy i zakończeniu walk pewna liczba żołnierzy wypoczywała w Złakowie Borowym, w tym dwóch w domu wujka Władysława. Jeden z nich był oficerem. Wujek miło ich wspomina. Byli uprzejmymi i kulturalnymi gośćmi. Częstowali cukierkami małego chłopca. To wydarzenie jest bardzo ważne i ma związek z opisywaną przeze mnie pamiątką rodzinną. Otóż, oficer był smakoszem gęsi. Oprócz typowego wyposażenia żołnierskiego posiadał przybory do pieczenia drobiu. Pewnego dnia przyniósł gęś, a mama mojego wujka – Adela Teper – upiekła ją dla gości. Gdy oficer w pośpiechu opuszczał dom wujka, by pojechać na wojnę z Francją, nożyce do cięcia drobiu firmy Hugo Koller Solingen pozostały w posiadaniu rodziny Goździków.



Babcia Halinka miała rację! Pamiątka rodzinna została opisana w książce przez mojego wujka. Musi mieć duże znaczenie dla rodziny Goździków skoro wujek postanowił opisać to wydarzenie.

Stargard, 5 marca 2021 r.

Kolejny dzień spędziłam na lekturze. Nie myślałam, że książka wujka będzie taka interesująca. Pewnie jest dla mnie interesująca dlatego, że porusza historię mojej rodziny. To niesamowite! Poznaje historię czasów wojny widzianą oczami mojego wujka, małego chłopca, którego dzieciństwo przypadło na takie ciężkie czasy. Próbuje to sobie wyobrazić. Kiedy ja miałam pięć lat to bawiłam się z koleżankami na placu zabaw, wyjeżdżałam z rodzicami na wakacje do Chorwacji. Żyłam sobie bez troski. Tymczasem mój wujek żył w strachu o siebie i najbliższych. Był małym dzieckiem, a musiał zachowywać się jak dorosły mężczyzna. Bardzo mi to zaimponowało. Historie opisane przez wujka sprawiły, że zupełnie inaczej zaczęłam postrzegać swój świat. Choć ten mój dzisiejszy świat również nie jest idealny. Od marca zeszłego roku na świecie panuje epidemia koronawirusa. Ta pandemia pozamykała dzieci w domach. Musiałam przyzwyczaić się do zdalnego nauczania, życia bez kontaktu z rówieśnikami. Czas izolacji wywołuje smutek, pozbawia wspomnień ze szkolnych wycieczek integracyjnych, które nie odbywają się z powodu wielu obostrzeń. Przemija czas zielonych szkół, kolonii. Mam świadomość, że te lata już nie wrócą. Młodzi ludzie także żyją w strachu o zdrowie swoje i swoich najbliższych. Nie są to jednak tak okrutne czasy, jak czasy wojny. Zresztą nie chodzi o to, aby się licytować kto miał gorzej; ja czy wujek Władysław.

Po tych rozważaniach zaczęłam czytać kolejny rozdział książki. Wiosną 1939 r. wujek mieszkał z rodzicami w Łowiczu. Jego tata sprzedawał zboże, zajmował się rozbiorem świniałów, hodował drób domowy do produkcji mięsa. Często używał w swojej pracy nożyc do cięcia drobiu. Wieszal na hakach szynki. Wujek pomagał ojcu i przyglądał się jego pracy. Czasem ostrzegał tatę, że szynka spadnie z haka i tak też się działo. Wtedy tata chwalił syna za czujne oko i zaangażowanie. Tata był dla wujka bardzo ważny, często wspomina go w swojej książce. Z opisów wynika, że spędzali razem dużo czasu i pracowali razem w polu. Niestety któregoś ranka, w lipcu 1941 r. żandarmi z posterunku w Kiernozi aresztowali Jana Goździka. Wujek nie zdążył pożegnać się z ojcem, gdyż był w tym czasie na pastwisku z krowami. Za co aresztowano tatę Władysława? Tata mojego wujka znalazł w swojej stodole trzech śpiących mężczyzn.

Mieli przy sobie worek cukru. Prawdopodobnie przeszli oni przez tamę na rzece Słudawi, która znajdowała się na wprost domu wujka i dlatego wybrali tę stodołę na odpoczynek. Tych ludzi szukali żandarmi z psami. Gdy dotarli do domu wujka to oskarżyli jego ojca o sabotaż. Dziwny był ten sabotaż, bez wiedzy Jana. Mężczyźni bowiem włamali się w nocy do stodoły. Może jednak chodziło o to, że Jan Goździk dał przybyszom po szklance mleka z kromką chleba i to bardzo nie spodobało się żandarmom. Dobrego gospodarza zabrano do aresztu, a potem został wywieziony dalej i skazany na pięć lat więzienia w Sieradzu. Polecony adwokat z Warszawy miał pomóc rodzinie wykupić ojca, ale niestety okazał się oszustem i naciągaczem. Pewna zakonnica mówiąca po niemiecku pojechała do Sieradza odwiedzić tatę mojego wujka. Niestety ciocia Adela nie знаła języka niemieckiego. Jan Goździk posmutniał, gdy zamiast żony za kratą zobaczył nieznaną mu kobietę. Napisał on do rodziny dwa listy. Z Instytutu Pamięci Narodowej wujek otrzymał dwie kserokopie dziennika więziennego. Na jednej liście jego tata figuruje do wywiezienia do Oświęcimia, a na drugiej napisano, że zmarł 9 grudnia 1942 r. Wujek otrzymał dwa zdjęcia z pogrzebu taty, zrobione przez zakonnice Urszulanę. W 1997 roku była przeprowadzona ekshumacja taty wujka Władysława i przeniesienie kości do grobu rodzinnego na cmentarz w Złakowie Kościelnym.

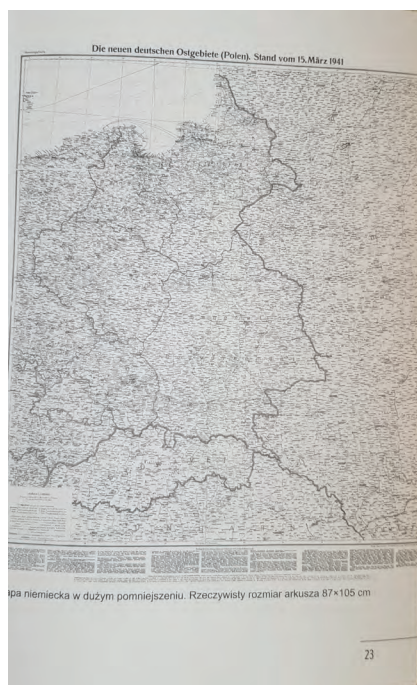
Ilekoć wujek spogląda na nożyce tylekoć widzi swojego ojca, jego spracowane, dobre ręce. Władysław Goździk zachował te nożyce jako ważną pamiątkę rodzinną. Przypominają mu one rodzinny dom, starania mamy i taty. To powrót pamięcią do najlepszej a zarazem najtrudniejszej przeszłości. Najlepszej, bo to czas spędzony w towarzystwie ukochanego taty, a najgorszej bo to czas wojny, okupacji i śmierci. Nożyce i książka mojego wujka to pamiątki rodzinne, które wywołują skrajne uczucia. Przypominają czasy ojcowskiej miłości i troski o małego chłopca, ale też przywołują dramatyczne wspomnienia aresztowania i śmierci taty.

Wujek wspomina, że po aresztowaniu taty żandarmi jeszcze kilka razy zaglądali do jego domu. Czasami byli pijani, ale nie zrobili nikomu nic złego. Ostatnie wydarzenia sprawiły, że w sercu chłopca narodziło się uczucie nienawiści do Niemców. To uczucie towarzyszyło również psu Bobikowi, który obszczekiwał bryczki jadące z Niemcami. Pewnego dnia z furią zaatakował taką bryczkę i został zastrzelony przez Niemca. Posmutniałam. Tyle zła wydarzyło się w tamtych czasach. Trudno mi zrozumieć jak okrutni potrafią być ludzie dla ludzi oraz ludzie dla zwierząt.

Przerwałam czytanie. Musiałam trochę odpocząć od tych smutnych historii.

Stargard, 6 marca 2021 r.

Okazało się, że wujek Władysław jest w posiadaniu jeszcze jednej, bardzo cennej rzeczy. To mapa Polski: „Die neuen deutschen Ostgebiete (Polen): stand vom 15. März 1941” w skali 1: 1 000 000 wydana przez Verlag Georg Westermann. Tę mapę w domu wujka zostawiła pewna niemiecka rodzina, która zatrzymała się przy jego domu, by upewnić się czy dobrze jadą w kierunku Płocka. Kiedy rodzina ta zobaczyła na podwórku kury, to poprosili Adele Teper (mamę wujka) o jajecznicę. Po posiłku ruszyli w drogę, zapominając o mapie.



Strona mapy z tytułem Polen była przekreślona. Tak wielka była pycha i duma Niemców. Agresorzy podzielili się ziemią Polski: Niemcy – 48%, ZSRR – 52%. Granica z Ukrainą jest taka jaką wyznaczili Niemcy z ZSRR. Granica z Białorusią jest na dużym odcinku przesunięta na wschód – oddano Polsce prawie dzisiejsze województwo białostockie. W zamian za to z przyznanych Prus Wschodnich, ZSRR zabrał obszar o powierzchni 15 100 km² i utworzył Obwód Kaliningradzki należący do Rosji oraz zamknął Zalew Wiślany do swobodnej żeglugi morskiej. Powierzchnia Polski do 1939 r. to ok. 388 000 km², a obecnie 312 000 km². Nasza ojczyzna straciła więc 76 000 km² powierzchni. Polacy stracili więcej niż Niemcy,

które przeżyły wojnę. To wydarzenie opisane przez mojego wujka to dla mnie prawdziwa lekcja historii. Takie lekcje historii, które dotyczą mojej rodziny, są bardzo interesujące.

Wujek napisał, że w drugiej połowie lipca 1944 r. przez kilka dni obok jego domu na koniach i wielbłądach przejeżdżali w kierunku granicy własowcy Ukraińcy. Biwakowali oni w namiotach na Złakowskich łąkach, a żandarmi straży granicznej przeprowadzali rewizję ich wozów. Pewnego dnia własowcy strzelali z karabinów maszynowych do niemieckich strażników. Tak strzelali, aby ich nie zabić, ale by móc bez zatrzymywania opuścić Złaków. Na początku stycznia 1945 r. Niemcy zaczęli uciekać na zachód. Ruszyła ofensywa. Do Złakowa wjechali Rosjanie.



Córka Małgosia na schodach od spalonego domu, 1962 r.

Zaciekawił mnie opis domu mojego wujka. To był drewniany dom, pokryty słomianą strzechą. W skansenie w Maurzycach można zobaczyć takie domy, przeniesione ze Złakowa Borowego. Dom rodzinny wujka palił się dwa razy. Po pożarze pozostały tylko schody do wejściowych drzwi, które stały się atrakcyjnym miejscem do robienia zdjęć.

Wujek opisuje też Komunię Świętą. Zaskoczyło mnie, że Komunia Święta w tamtych czasach była znakiem wchodzenia w dorosłość. Dzieci nie dostawały prezentów, uroczystość była wartością samą w sobie. Jeszcze większym zaskoczeniem był dla mnie fakt, że elektryfikacja wsi nastąpiła na przełomie 1943 i 1944 r., a dopiero w 1965 r. zbudowano wodociąg. W mojej głowie narodziło się pytanie: jak mieszkańcy żyli bez prądu i wody w kranie? Dzisiaj trudno to sobie wyobrazić!

Złakowo Borowe to dla mojego wujka najważniejsze miejsce na ziemi. Zrozumiałam to czytając jego książkę. Utwierdził mnie w tym opis wsi. Autor napisał, że wspominając rodzinną wieś zawsze widzi łąkę wiosenną porą, pełną kwiatów i ptaków oraz czuje zapach skoszonej trawy i siana.

Ile w tym opisie nostalgii i tęsknoty do czasów dzieciństwa. Symbolami tych czasów są: nożyce do cięcia drobiu – wspomnienie ukochanego ojca oraz mapa Polski – wspomnienie domu rodzinnego pachnącego potrawami przygotowywanymi przez mamę wujka Władysława oraz książka pt.: „Co zapamiętałem ze Złakowa Borowego” upamiętniająca te symbole. Ostatni rozdział tej książki nosi tytuł: „Ród Goździków w tablicach genealogicznych”. Analizując te tablice przypomniałam sobie o drzewie genealogicznym mojej rodziny, które tworzyłam razem z rodzicami kilka lat temu. Pamiętam jakie to było fantastyczne, rodzinne zajęcie. Wtedy dowiedziałam się czym jest drzewo genealogiczne, co przedstawia. Odnalazłam moją pracę, zrobiłam zdjęcie i postanowiłam zamieścić w moim pamiętniku.



Mam nadzieję, że moje drzewo genealogiczne będzie dla następnych pokoleń pamiątką rodzinną. Może mój wnuczek lub wnuczka zamieszczą je kiedyś w swojej książce. Tymczasem postanowiłam stworzyć drzewo genealogiczne, na którym będzie znajdowała się rodzina Stępczyńskich i rodzina Goździków. Nie było to dla mnie proste zadanie. Poprosiłam o pomoc moją mamę. Jak za dawnych czasów, kiedy byłam małą dziewczynką, usiadłyśmy przy stole i wspólnie tworzyłyśmy nową tablicę genealogiczną. Drzewo, które powstało również dołączyłam do mojego pamiętnika. Za kilka lat będę wspominała te piękne chwile, a moje dzieła będą dla mnie wartościową pamiątką.

Stargard, 7 marca 2021 r.

Zadzwoiłam dziś do babci Halinki, by pochwalić się wiedzą zdobytą po przeczytaniu książki autorstwa mojego wujka. Babcia była ze mnie dumna. Powiedziałam, że bardzo chciałabym pojechać do Złakowa Borowego. Babcia obiecała mi taką wycieczkę w okresie wakacji. Postanowiła namówić na tę wycieczkę również mojego wujka Władysława. Wycieczka z wujkiem będzie bardzo interesująca. Nikt nie zna lepiej tej wsi od niego. Z chęcią posłucham opowieści z dzieciństwa mojego wujka. Może opowie mi jakąś historię, której nie opisał w książce. Rodzinne dzieło wróciło do biblioteczek moich rodziców. Kiedyś zasili moją biblioteczkę, a ja w przyszłości przekażę je swoim dzieciom. To będzie wspinały dokument pokazujący jak żyli moi przodkowie, czym się zajmowali. To będzie najciekawsza lekcja historii.

Nożyce, ze względu na dużą wartość historyczną, zostaną w mojej rodzinie i będą przekazywane kolejnym potomkom, z pokolenia na pokolenie. Wujek ma nadzieję, że następni posiadacze rodzinnej pamiątki będą dbali o ten cenny przedmiot, a dzięki książce poznają historię nożyc.

Książka mojego wujka zainspirowała mnie do spisywania własnych wspomnień. Przyszłe pokolenia mogłyby porównywać wspomnienia z różnych okresów, mogłyby zobaczyć jak bardzo zmieniają się świat i ludzie.

Zuzanna Pietrasik

Szkoła Podstawowa nr 35 im. Jana Pawła II w Szczecinie

Kochaj i bądź kochana

Kropelki granatowego tuszu powoli kapaly ze stalówki do szklanego kałamarza. Pod wpływem marcowego słońca lśniły jak najdroższy lazuryt. Umysł nie wie co przekazać, ale ręka spoczywa piórem na papierze i... rusza.



Minęły trzy lata od zakończenia wojny i nadal rzadko widuję się z moją zapracowaną siostrą. Cóż się dziwić, miałem wtedy 17 lat, a ona była prawie 5 lat starsza ode mnie. Co więcej, rok wcześniej podczas wielkanocnego śniadania oznajmiła całej rodzinie, że chciałaby zmienić swoje miejsce zamieszkania, co wcale nie było takie łatwe. Nie widziałem jej od dłuższego czasu, więc pewnie zrozumiecie moje zdziwienie, kiedy pewnego marcowego poranka, szykując się na śniadanie usłyszałem okrzyki radości dobiegające z kuchni. Przyznam się, na początku myślałem, iż nasz dom znowu wita niespodziewanego gościa w postaci karalucha, przez co pobiegłem tam co sił w nogach. Moje przypuszczenia okazały się błędne, bo w kuchni nie znalazłem żadnego robaka tylko moją siostrę, która tryaskała radością.

Nie była już od dawna nastolatką, lecz młodą kobietą. Nadal nie rozumiałem, kiedy to się stało. Rozanielona biegła między pokojami. Na pełnej twarzy widniały świeże rumieńce, a z zazwyczaj idealnie ułożonej fryzury, wypadło kilka luźnych kosmyków. Uśmiech unosił jej policzki i rozjaśniał oczy rzucając spojrzenie wszędzie dookoła, ale nie zatrzymujące go na niczym konkretnym. Szybko okazało się, że powodem jej radości było wynajęte mieszkanie. Co więcej, znalazła koleżanki, które chętnie zostałyby jej współlokatorkami. Dopiero wtedy zrozumiałem, po co przyniosła ze sobą kartonowe pudła. Wyszedłem dosłownie na chwilę, a one już stały zapelnione. Byliśmy raczej skromnie żyjącą rodziną i nie potrzebowaliśmy wiele do szczęścia, ale Lusia miała zdecydowanie więcej rupieci ode mnie. Nie rozumiałem, dlaczego gromadziła tyle zeszytów i zdjęć.

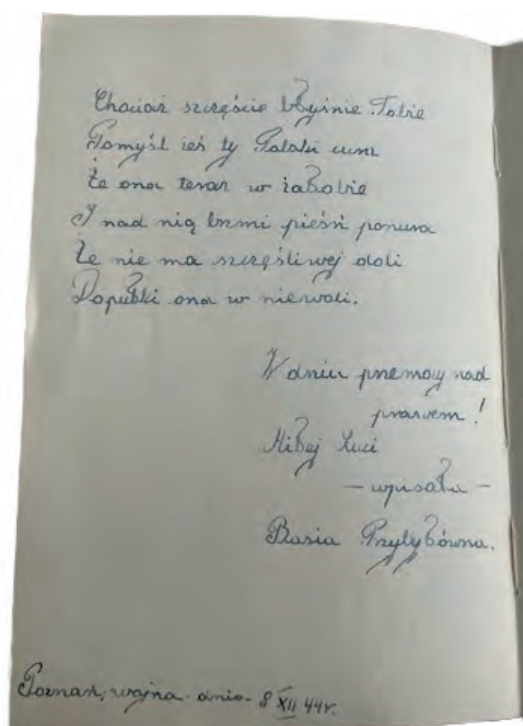
– Czy ty kiedykolwiek używałaś tych rzeczy? – spytałem zaczepnie, ale nie zareagowała spojrzeniem tak, jak tego oczekiwałem.



– Znalazłam pamiętnik z wpisami przyjaciół z czasów wojny – wzięła w swoje delikatne dłonie błękitny zeszyt z tekturową okładką i wzmocnionym brzegiem z granatowej tkaniny. Okładka była usiana drobnymi, kolorowymi plamkami, które przywodziły na myśl wiosenną łąkę z mnóstwem dzikich kwiatów. Liczył około pięćdziesięciu grubych, kredowych kartek. Typowy dziewczynski pamiętnik. One uwielbiały wpisywać się do tych zeszytów, choć ja nie widziałem w tym wiele sensu. Otworzyła go z nostalgicznym wyrazem twarzy, przez co przewróciłem oczami.

– Basia... – zamilkła z półuśmiechem pełnym żalu.

Podszedłem ze zmarszczonymi brwiami i zajrzałem jej przez ramię. Pisane piórem proste litery z licznymi zawijasami tworzyły wyrazy niczym odrysowane od linijki wersy.



Chociaż szczęście błysnie Tobie,
pomyśl, żeś Ty Polski córka,
że ona teraz w żałobie.
I nad nią brzmi pieśń ponura,
że nie ma szczęśliwej doli,
dopóki Ona w niewoli.

W dniu przemocy nad prawem!
Mitej Łuci
- wpisała -
Basia Przybyłówna.

Poznań - wojna, dnia 8 XII 1944 r.

– Kto to? – spytałem niby mimochodem.

Lusia zamilkła. Poczulem, jakbym tym pytaniem zasłonił słońce, które wpadło do naszego domu dzisiejszego poranka.

– W czasie wojny nikt nigdy nie był pewny, czy nazajutrz uda mu się dojść do domu, czy może otworzą się przed nim znajome drzwi. – Mama, której wcześniej nie zauważyłem, przerwała ciszę. Podeszła spokojnie do Łucji i położyła jej rękę na ramieniu.

– Była moją bliską koleżanką. W czasie bitwy o Poznań nikt nie był pewny, czy uda się wrócić komukolwiek do domu, czy jak zadzwoni do znajomych drzwi, to one się otworzą... – próbowała ukryć swoje pełne bóleści spojrzenie za neutralną miną. – Zaginęła miesiąc po wpisie. Nigdy więcej jej nie zobaczyłam.

Z moich ust, mimo wielu prób, nie wydobył się żaden dźwięk.

– W czasie tych walk martwiłam się o was wszystkich tak jak wtedy, w roku 40., kiedy zabrano nam Lusię – powiedziała z troską w głosie mama.

Pamiętam ten dzień... Był styczeń. Biały puch, który nie chciał przestać padać, przykrył najbliższą okolicę. Zabrakło nam mleka, więc Lusia postanowiła zorganizować jakieś jedzenie. Uplynęło sporo czasu od jej wyjścia, które miało być przecież tak krótkie, dlatego zaczęliśmy się martwić. Mijały kolejne godziny, a mojej siostry dalej nie było. Pamiętam rozpacz rodziców i daremne próby jej poszukiwania. Miała wtedy nieco ponad 13 lat. Wtedy jeszcze nie pojąłem wagi sytuacji, jednak zrozumienie przyszło z czasem. Na szczęście wróciła wieczorem. Pamiętam, jak nie mogła uwierzyć, że wróciła do domu. Okazało się, że rano była łapanka, Niemcy zabrali ludzi i wywieźli do jakiś punktów zbiorczych. Lusia otrzymała kartę pracy i przydzielono ją do fabryki amunicji. Od teraz musiała stawiać się tam codziennie na 10–12 godzin. Później udało się jej zamienić formę pracy na zmianową i choć czasami musiała pracować w nocy, praca trwała 8 godzin. Przez następne pięć lat ciężko pracowała i jako dziecko nie mogła liczyć na żadną ulgę. Nie mogła chodzić do szkoły, czy spotykać się z rówieśnikami. Codziennie wracała wykończona do domu, jednak zawsze pomagała mamie w codziennych obowiązkach. Wcale jej się nie dziwię, że nie lubiła poruszać tematu wojny. Jednak kiedy ktoś ją zapytał, zaczynała snuć opowieści. Tego marcowego dnia zauważyłem, że wzmianka o Basi wywołała w niej nieprzyjemne wspomnienia. Tym bardziej nie mogłem zrozumieć, co jej dawało przechowywanie tych wszystkich pamiątek.

Przewróciła kolejne strony, dając znak zamknięcia tematu. Widziałem wiele wpisów różniących się zarówno charakterem pisma,

odcieniem użytego atramentu, jak i grubością stalówki. Niektóre z nich wydawały się dopieszczane, zadbane, wręcz kaligraficznie idealne, niektóre zaś pisane były jakby niedbale, w pośpiechu, czy nawet w strachu. Ile jest w nich zawartych ludzkich emocji, skrawków życia, lez i nadziei – możemy się jedynie domyślać. W wielu zapiskach widniały podstawowe błędy w pisowni. Skąd jednak ci młodzi ludzie mieli znać zasady prawidłowej polszczyzny w czasach, kiedy okupant usiłował odebrać im wszystko? Od godności, domów, wolności, aż do zamknięcia szkół. Czytając poszczególne wpisy podświadomie dzieliłem je na wojenne i powojenne. Nie potrzebowałem nawet dat, żeby je rozróżnić. To było widoczne gołym okiem. Patrzyłem na siostrę, jak zamykała oczy, gdy ja czytałem kolejne z nich. Po jej wyrazie twarzy domyśliłem się, że przypominała sobie twarze ich autorów, chwile, w których zostały spisane. Serca młodych Polek i Polaków naznaczone bólem, strachem i głodem nie dały się jednak stłamsić, nadal nosiły w sobie żar i ideały, które obrazował wpis Wandzi G. z 1 grudnia 1945 roku:

*Najszlachetniejszy kamień,
To ten, który inne kraje, a siebie zarysować nie daje,
Najszlachetniejsze serce ludzkie,
Jest to właśnie, które raczej się skałeczy,
Niż samo zadraśnię.*

Czas wojny, czas apokalipsy, próbował złamać nasze pokolenie. Wielu z nas nie dożyło czasów wyzwolenia, jednakże patrząc na te wpisy uświadomiłem sobie, że pamięć każdej z tych osób będzie żyła, dopóki ten pamiętnik będzie trwał. Wspomnienia łatwo się rozmywają, pamięć często nas zawodzi, dlatego potrzebne są tego typu pamiątki, które te wspomnienia posegregują i zamkną w czymś mniej ulotnym.

Od tamtego momentu zastanawiałem się, co bym mógł napisać mojej kochanej siostrze. Jakie słowa przekazać jej jako dar i pamięć o mnie... Chciałem jej przekazać coś, co zapamiętałaby na zawsze i wracała do tego z takim uśmiechem na twarzy, jaki u niej widziałem. Wydawało mi się, że piękne cytaty, sentencje czy osobiste wpisy, były więcej warte niż moje przemyślenia. Wtedy Lucja weszła do pokoju i zaczęliśmy rozmawiać dalej o poszczególnych osobach oraz okolicznościach, w których zostawiły po sobie atramentowy ślad. Temat zszedł na jej młodzieńczą miłość i pomyślałem, że jest to coś warte ocalenia.



Rozejrzałem się i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że wokół mnie zebrala się mała gromadka wsłuchujących się w moją opowieść osób. To była nasza rodzina. Koło mnie siedziała Lusia i trzymała za rękę. W jej oczach tliły się zduszone łzy wzruszenia. Zmarszczki pokrywające jej twarz, nie zakryły jednak piękna oblicza mojej ukochanej siostry, a błysk w jej oczach przypominał mi tę chwilę, kiedy wpadła do rodzinnego domu z pudłami. Lusia wyjęła pamiętnik z komody. Poszarzała od upływu czasu okładka, wyglądała jakby miała się rozpaść w każdej chwili. Materiałowy pasek, którego zadaniem było trzymanie całego zeszytu, już nie do końca pełnił swoją funkcję. Rozwarstwiona tektura, pożółkłe kartki, atrament nieco już wyblakły, jednak wpisy zostały takie, jakie je zapamiętałem. Wśród nich widziałem też mój, dokładnie taki, jak w mojej pamięci.



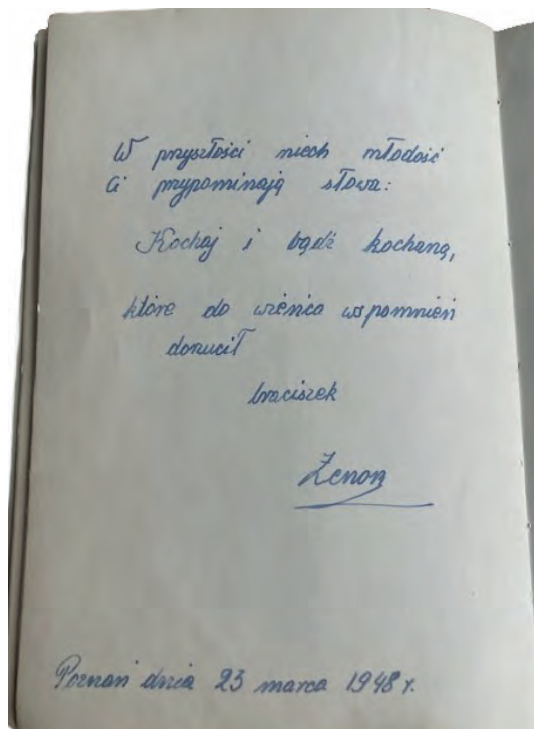
23 marca 1948 r.

Kropelki granatowego tuszu powoli skapywały ze stalówki do kałamarza. Zacząłem kreślić kilka słów.

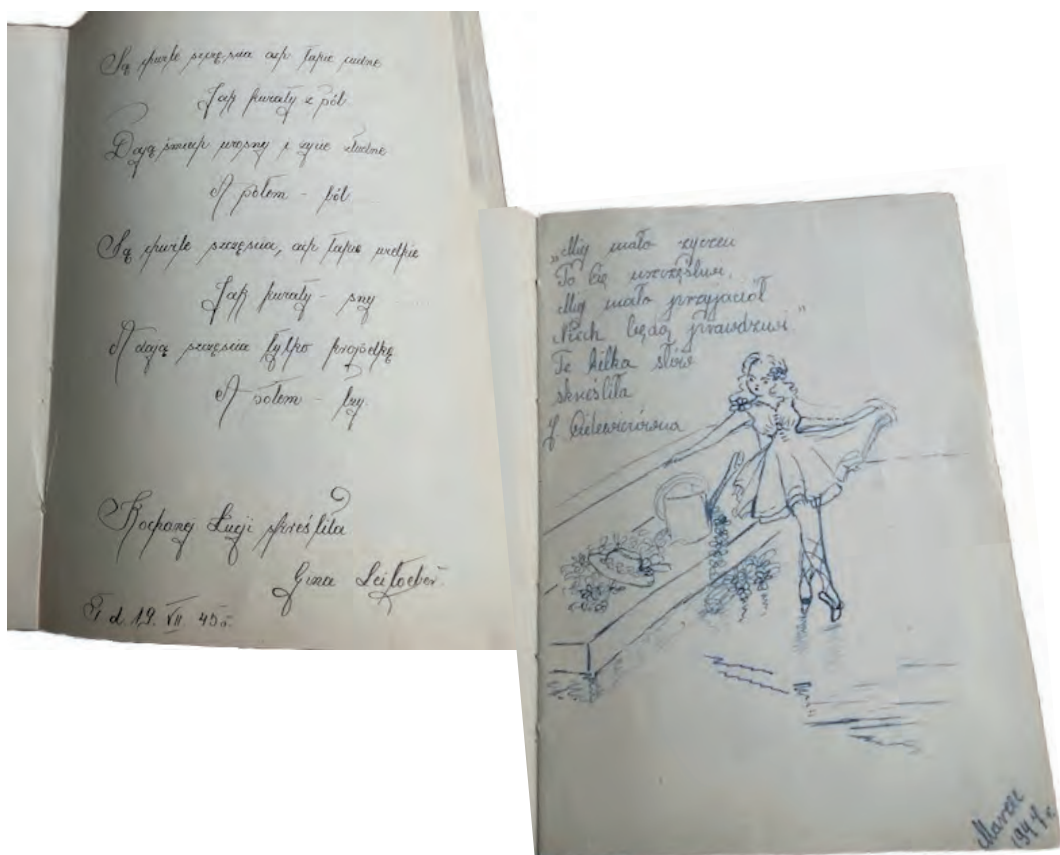
W przyszłości niech młodość
Ci przypomina słowa:
Kochaj i bądź kochana,
które do wieńca wspomnień
dorzucił
braciszek

Zenon

Poznań dnia 23 marca 1948 r.



Opisałam tę historię z myślą o mojej prababci, dziś już 94-letniej niezwykle kruchej, schorowanej, mającej już problemy z pamięcią, lecz dalej promiennej Łucji i o jej młodszym bracie Zenku, który już nie żyje. O pamiętniku nie wiedziałam wcześniej zbyt wiele. Wielokrotnie zaś słuchałam opowieści z czasów okupacji, tak więc głównie opowiedziane przez moją prababcię historie, oraz otrzymany pamiętnik stały się główną inspiracją do napisania tego opowiadania. Pamiętnik w moich oczach to swego rodzaju kapsuła czasu, która przetrwała czas okupacji i kolejnych dziesięcioleci. Niezwykłe historie ludzi, których wpisy zostały uwiecznione w pamiętniku mojej prababci uświadomiły mi, jak kruche może być ludzkie życie, świat jaki znamy, do jakiego jesteśmy przywiązani. Dzięki pamiętnikowi i refleksji, jaką wywołuje czytanie nakreślonych w nim zdań, pamięć o tych osobach wciąż żyje.



Kamila Bronis

Szkoła Podstawowa im. Mieszka I w Mieszkowicach

Historia ciotki Weroniki i jej naszyjnika

Przeciągnęłam się na krześle. Blask słońca odbijającego się od naszyjnika na moment mnie oślepił. Właściwie był to mały krzyżyk wykonany ze złota zawieszony na długim, również złotym łańcuszku, który leżał starannie ułożony na półce w moim pokoju. Mienił się tak intensywnie, jakby chciał zwrócić na siebie moją uwagę. Mając dosyć pracy przy komputerze, wzięłam ów przedmiot do rąk i oglądałam go dokładnie z każdej strony... Zaczęły wracać do mnie uśpione od lat wspomnienia, które spokojnie leżały na dnie mojej pamięci, będąc gotowe właśnie w tym momencie przesunąć się przed oczyma mojej wyobraźni jak niesamowity film. Film tym ciekawszy i bardziej wzruszający, że prawdziwy, a jego główną bohaterką jest moja ciotka Weronika – siostra mojej prababki. To kobieta o złotym sercu i nerwach ze stali. Naprawdę trzeba było się napracować, aby wyprowadzić ją z równowagi. W moich wspomnieniach pozostała zgarbioną staruszką z krótkimi włosami ukrytymi pod chustą, ale przeglądając zdjęcia sprzed lat, mogłam zauważyć, że w młodości była wysoką dziewczyną, o krągłej sylwetce, a jej lśniąca, czarne włosy opadały spokojnymi falami, sięgając łopatek. I tylko jedna rzecz w jej wyglądzie pozostała niezmienna – uśmiechała się dokładnie tak samo, jak na jednej z fotografii, którą znalazłam podczas porządków w domu.

Opowieści przekazywane z pokolenia na pokolenie, nieistotne anegdoty sprzed lat... Historyjki o tym, jak dziadek w młodości przegrał blahy zakład, to nic przy tym, czego dowiedziałam się podczas jednego ze spotkań u mojej ciotki. Żadna historia nie wywołała we mnie takiego poruszenia i nie zainspirowała mnie tak mocno, jak te kilka miesięcy wyjętych z czyjeś życia opowiedzianych w jeden wieczór...

Często odwiedzałam z rodzicami moją bliską krewną. Podczas tych spotkań zwykle nie działo się nic ciekawego, dorośli rozmawiali, a ja z nudów liczyłam plamy na suficie, ewentualnie oglądałam porcelanę za szybą i próbowałam wydostać się z labiryntu znajdującego się na dywanie, który, jak się okazuje, wyjścia nie posiadał (choć kto wie, może nie sprawdziłam wszystkich opcji). Ale musiałam znaleźć sobie inne zajęcie, w końcu ile można przechodzić ten sam, jak zakładałam, niemożliwy do

przejścia labirynt w kółko? Więc przy kolejnym podwieczorku postanowiłam, za zgodą właścicielki, pogrzebać w szafce, która zawsze mnie ciekawiła z racji pięknych zdobień na jej obrzeżach. Kiedy wykladałam kolejne sterty papierów i listów, których treść była mi nieznana przez to, że była napisana cyrylicą, w oczy rzucił mi się gruby notes z intensywnie czarną okładką, owinięty złotym łańcuszkiem z krzyżykiem, co mój zmysł estetyczny uznał za niezwykle pociągające, więc książka musiała od razu znaleźć się w moich dłoniach. Odplątując przedmiot mający uwolnić mnie od uciążliwej nudy, błagałam w duchu, aby był napisany przystępnym dla mnie pismem. Otworzyłam notatnik i okazało się, że moje modlitwy zostały wysłuchane... Moim oczom ukazały się bowiem litery, które byłam w stanie przeczytać, co więcej – tekst był napisany po polsku! Szczęście niemożliwe do wyobrażenia dla osoby, która nigdy nie była zmuszona do liczenia płam na suficie. Zachwycona zaczęłam pochłaniać każde słowo znajdujące się na wygniecionym papierze, z emocji nie rozumiejąc dokładnie tego, co czytam, przez co, co chwilę wracałam do początku zdania.

– Ostatni raz miałam go w rękach trzynaście lat temu – odezwała się ciotka.

Spojrzałam na nią, aby uświadomić sobie, że już przez jakiś czas mnie obserwowała.

– Ale wciąż pamiętam te czasy i wciąż do nich wracam myślami – uśmiechnęła się do mnie ciepło. – Zgadując po twojej minie, chcesz o tym posłuchać, tak?

Energicznie potrząsnęłam głową i w ciągu sekundy siedziałam już obok niej na kanapie.

– Nawet nie wie ciocia jak bardzo! – dodałam, wpatrując się w jej oczy.

– To był 1952 rok, wczesne lato... Powoli z pamięci wymazywały się wszystkie tragedie, których doświadczyła nasza rodzina podczas drugiej wojny światowej. Nie żyliśmy już tak jak wcześniej, ale zaakceptowaliśmy to, że nie wrócimy do dawnych czasów, nie uściskamy się ze zmarłymi braćmi, siostrami ani dziadkami. Po prostu życie toczyło się dalej – podsumowała. – Miałam wtedy dwadzieścia dwa lata i pojechałam z rodziną nad wodę do Jastrzębic. Był upalny dzień, bez ani jednej chmury na niebie. Młodsze rodzeństwo od razu wskoczyło do wody, starsze grało z rodzicami w karty, a ja spacerowałam po pobliskim lesie...

W tym momencie ciotka przerwała na chwilę swoją opowieść, żeby wziąć łyk herbaty.

– Kiedy tak szłam i szłam, mijając coraz gęściej rosnące drzewa, zobaczyłam małą dziewczynkę, rozglądającą się nerwowo — ciocia spojrziała na mnie. – Była bardzo podobna do ciebie. Też miała brązowe włosy i jasne oczy, tylko była nieco młodsza. Zmartwiłam się, więc podeszłam do niej i zapytałam, co robi sama w środku lasu, na co odpowiedziała mi, że zbierała kwiaty i idąc za kolejnymi kępkami, dotarła do miejsca, z którego nie potrafiła już wrócić do domu. Poprosiłam ją, aby określiła mi, jak wygląda jej domek i okolica, żebym w razie czego mogła pomóc jej wrócić. Dziewczynka opisała mi wszystko dokładnie. Powiedziała, że mieszka przy wyjściu z lasu, w Kodraniu, a ja kojarzyłam tę miejscowość, dlatego zaproponowałam, że ją odprowadzę, na co chętnie przystała. Przedstawiła się jako Zosia i po drodze opowiadała o swoich kurach, którymi zajmowała się ze swoim bratem. Zdziwiło mnie, że mówiła tylko o nim, a o rodzicach nie wspominała, więc zapytałam ją, czy mieszka tylko z bratem. Kiwnęła głową. Nie chciałam pytać o jej rodziców. Nie wiedziałam, czy nie ma związanej z tym traumy albo nie wie, że jej bliscy, jak się później dowiedziałam, zginęli podczas wojny.

Ciotka znowu przerwała, tym razem po to, aby w ciszy powspominać to wydarzenie, co wnioskowałam po jej wyrazie twarzy...

– W końcu doszliśmy do miasta i dziewczynka rozpoznała swój dom. Na podwórku czekał na nią brat. Zosia podbiegła do niego, mocno przytuliła i wyjaśniła, co się stało, a następnie wręczyła kwiaty, które były powodem jej zagubienia. Ale gdyby nie one, nigdy nie przeżyłabym tej historii. Tolek, bo tak nazywał się brat dziewczynki, zaprosił mnie do środka, przekonując ciastem i herbata, co po tak długim spacerze było dla mnie zbawieniem – kobieta zaśmiała się na to wspomnienie. – Był średniego wzrostu młodym mężczyzną o jasnych włosach i piwnych oczach, w które lubiłam patrzeć. Rozmawialiśmy tak długo, że nawet nie zorientowałam się, kiedy z poranka zrobiło się popołudnie, a więc musiałam wracać do rodziny, która na pewno zastanawiała się, gdzie ja zaszłam, że tyle czasu mnie już nie ma. Nie mogłam przepuścić jednak takiej okazji, bo Tolek okazał się naprawdę ciekawym człowiekiem, z którym było o czym porozmawiać, więc umówiliśmy się na spacer po lesie następnego dnia o tej samej porze.

Z zaciekawieniem słuchałam o tym, jak nazajutrz Tolek przywitał ciotkę bukietem goździków zerwanych przez jego siostrę i o ich kolejnych spotkaniach, podczas których stawali się sobie coraz bliżsi. Opowiadała, jak pisali do siebie listy, podczas gdy przebywała na praktykach w innym mieście. O tym, jak on dedykował jej wiersze, a ona rysowała jego podobizny i o tym, jak porównywali kształty chmur do twarzy polskich literatów.

– Jednak podczas jednego z naszych jesiennych spotkań on się nie zjawił, co nigdy jeszcze się nie zdarzyło, dlatego nie ukrywam, że się przejęłam. Czekałam na niego przez kilka godzin, brodząc w zlocistych liściach klonu, aż nie mogąc pozbyć się z mojej głowy czarnych scenariuszy, ruszyłam w kierunku jego domu – zamknęła na chwilę oczy, odchylając głowę do góry, jakby chciała powstrzymać łzy. – Kiedy przed nim stanęłam, dostrzegłam, że nikogo w nim nie było. Ściemniało się, a mimo to w żadnym pomieszczeniu nie paliło się światło ani choćby mała świeczka, do których Tolek miał słabość. Wcześniej próbowałam sobie wmówić, że po prostu zapomniał albo wypadło mu coś ważnego... Może mała się rozchorowała, w końcu to taka pora, że kiedy gania się tyle po podwórku i nie zwraca większej uwagi na pogodę, to przeziębienie murowane. Ale widok pustego domu pozbawił mnie nadziei. Mimo zaniepokojenia nie pozostało mi jednak nic innego, jak powrót do domu. Następnego dnia wypytywałam mieszkańców miasteczka, w którym mieszkało rodzeństwo, czy coś wiedzą. Dwie starsze kobiety powiedziały mi, że Tolka aresztowano. Uznano jego twórczość za szkodliwą, zbyt kontrowersyjną. Uznano prawdę, którą pisał o ówczesnym systemie za szkodliwą i kontrowersyjną! Ale to nie był główny powód jego aresztowania. Wyszło na jaw, że Tolek w czasie wojny działał w Armii Krajowej i uczestniczył w Powstaniu Warszawskim, co nie umknęło uwadze komunistów. Dalej nie mogę w to uwierzyć... Władza szukająca „wrogów ludu” nie mogła pozwolić na rozprzestrzenianie się niewygodnych dla niej treści, więc odebrała mi moje jedyne źródło radości w tym smutnym powojennym świecie, osobę dzięki której byłam w stanie cieszyć się na powrót z takich drobiazgów jak słoneczne dni spędzane w kwiecistym ogrodzie. Mężczyznę, którego pokochałam...

Ciotka ukryła swoją twarz w dłoniach. Po dłuższej chwili kontynuowała:

– Kazal Zofii ukryć się u sąsiadki, a następnie miała zaopiekować się nią znajoma ich zmarłej matki, która przyjechała po nią specjalnie z miasta oddalonego od Kodrania o trzysta kilometrów. Miesiąc później dowiedziałam się, że Tolek zmarł w więzieniu. Nawet nie wiem, czy to z powodu jego słabego zdrowia, czy został zamordowany. Odszedł bez żadnego pożegnania, przez co przez kilka miesięcy, a może i nawet lat miałam wrażenie, jakby miał zaraz wrócić. Jedyne co mi po nim pozostało, to ten złoty naszyjnik, – wskazała ręką na wisiorek z krzyżykiem, leżący obok notesu – który podarował mi na urodziny. Spotkaliśmy się wtedy o świcie nad jeziorem. Po złożeniu mi życzeń i podarowaniu drobnego upominku, powiedział

że ma dla mnie coś jeszcze, a tym czymś było pytanie. Przybliżył się wtedy do mnie i z jego twarzy znikł uśmiech, a wymalowała się niepewność. Wyciągnął do mnie swoją dłoń zaciśniętą w pięść. Powiedział, że przez ten czas przywiązał się do mnie tak bardzo, że już nie wyobraża sobie dalszego życia bez mnie u boku. Otworzył dłoń, na której, jak już się pewnie domyślasz, leżał wisiołek. Miał dla niego ogromną wartość, gdyż podarowała mu go matka. Chciała, by przynosił mu szczęście, którego ona nie mogła mu dać. Zapytał mnie, czy przyjąłabym go zamiast pierścionka zaręczynowego, na co oczywiście się zgodziłam, zaskoczona tym wyznaniem. I szczęśliwa...



Zamilkła, poświęcając chwilę na wrócenie pamięcią do tego momentu.

– W notatniku opisałam nasze spotkania i moje przemyślenia na temat tego czasu. Jest dla mnie bardzo ważny, tak jak wisiołek. Jednak mimo cudownych chwil, te miesiące przysporzyły mi wiele bólu i ciężko mi o tym mówić. Już krótka myśl sprawia, że to do mnie wraca, dlatego schowałam te rzeczy głęboko w szafce. Po tych wydarzeniach nigdy z nikim się nie związałam. Nie potrafiłam pokochać nikogo innego, bo moje serce wciąż należało i zawsze będzie należeć do niego – zakończyła swoją opowieść, z trudem zachowując opanowanie.

Czule uśmiechając się na to wspomnienie, odłożyłam wisiołek na półkę w swoim pokoju i niechętnie wróciłam do rozwiązywania zadań z matematyki.

Następnego dnia usiadłam na ławce, kładąc wcześniej na płycie nagrobnej bukiet goździków zebranych w ogrodzie. Minęło już pięć lat odkąd moja ciocia nie żyje. Została pochowana w miejscu, które od dawna sobie wybrała, razem z notatnikiem, a resztę rzeczy, w tym złoty naszyjnik, przepisała mi i moim rodzicom. Dzień przed swoją śmiercią, kiedy już się z nią pożegnaliśmy, a moi rodzice skierowali się w stronę wyjścia, zatrzymała mnie i podziękowała. Nazwała mnie wtedy Zosią. Zrozumiałam, że jest myślami daleko w przeszłości. Uśmiechnęłam się do niej i obiecałam, że pozdrowię Tolka...

Zanim wstałam, powolnym krokiem kierując się w stronę wyjścia z cmentarza, rozmyślałam jeszcze przez jakiś czas, wpatrując się w dwa nagrobki – Anatola i Weroniki.

Aleksandra Banuch

Szkoła Podstawowa nr 2

im. kpt. ż.w. Mamerta Stankiewicza w Gryfinie

Anioł Stróż

Pewnej wiosennej niedzieli 9-letnia dziewczynka o imieniu Władzia wraz ze swoją o rok starszą siostrą Jasią przystąpiły do Pierwszej Komunii Świętej. Ta mała dziewczynka Władzia to moja cudowna prababcia, z którą dane mi było spędzać czas przez 11 lat mojego życia.

Wróćmy do wiosny 1941 roku i do małej wsi na Podlasiu – Narojki. Choć słońce tego dnia świeciło wyjątkowo pięknie, to czas ten nie był tak piękny jak powinien być w dniu komunii. Była wojna, czyli jeden z najsmutniejszych okresów w historii ludzkości. Narojki to wieś tuż przy wschodniej granicy. Od końca września 1939 roku trwała na tych terenach okupacja sowiecka. Sowieci byli dla jej mieszkańców większym przekleństwem niż Niemcy. Dziewczynki jednak tego dnia były radosne. Po raz pierwszy miały przyjąć do serca Pana Jezusa. W Narojkach nie było katolickiego kościoła. Była tylko cerkiew. Dlatego też uroczystość odbywała się w oddalonym o około 10 km Drohiczynie. Wiosną 1940 roku Sowieci zniszczyli miasto i wnętrza kościołów, świątynie więc nie były piękne i dostojne, ale wciąż były. Księża często w tajemnicy i konspiracji odprawiali w nich msze. Uroczystości komunijne również owiane były tajemnicą, zachowywano wszelkie środki ostrożności, żeby tylko wróg nie zakłócił nabożeństwa. Władzia wraz z rodziną wyszła z domu bardzo wcześnie. Drogę do Drohiczyna musieli pokonać pieszo, ponieważ wóz i konia, którego kiedyś posiadali, dawno odebrali im sowieccy żołnierze. Choć droga była długa i nie łatwa do przejścia, zwłaszcza dla dzieci, to radość jaka gościła w ich sercach dodawała im sił. Nie był to czas komunijnych prezentów i wielkich przyjęć. Jedynym podarunkiem jaki dostały dziewczynki były uszyte przez ich mamę sukienki oraz książeczki do nabożeństwa „Anioł Stróż – skarbczyk modlitewny”.



Mała Władzia przytuliła modlitewnik do serca i zawierzyła swoje życie Bogu i opiece Anioła Stróża. Po powrocie do domu zasiedli przy stole i z apetytem całą rodziną zjedli przygotowaną wcześniej kartoflankę z pajdą swojskiego chleba. Czasy były bardzo trudne, nic nie wyglądało tak jak teraz, ale rodzice starali się zapewnić swoim pociechom choć namiastkę normalności. Siedzieli więc przy wspólnym posiłku, radowali się, śpiewali, tak jakby całe zło i okrucieństwo zostało gdzieś daleko. Chcieli, aby ten dzień był wyjątkowy mimo wszystko.



Władzia każdego wieczoru modliła się i przytulała do serca swój modlitewnik. Nie umiała jeszcze dobrze czytać, tym bardziej po polsku, gdyż w szkole obowiązywał język rosyjski, ale modlitewnik wydany w języku polskim był dla Władzi pierwszą książeczką do nauki czytania w języku ojczystym. Niespełna miesiąc po uroczystości komunijnej na terenach, które zamieszkiwała rodzina Zawadzkich rozpoczęła się okupacja niemiecka, a wraz z nią nadszedł nieprzychylny czas dla Żydów. Mama Władzi była już

wdową, gdy pewnego zimowego wieczoru, prawdopodobnie 1943 roku, do ich domu zapukano dwóch wystraszonych nastoletnich chłopców i poprosiło o kawałek chleba. Moja praprababcia Agata bez zastanowienia wpuściła ich pod swój dach, dając nie tylko chleb i zupę, ale również schronienie na najbliższych kilka lub nawet kilkanaście miesięcy. To był Joachim i Jonasz, dwaj bracia żydowskiego pochodzenia. Władzia każdego wieczoru pożyczala im swój modlitewnik, aby uczyli się polskich modlitw. Zwracano się do nich Janek i Rysiek, żeby nikt przez przypadek nie usłyszał ich prawdziwych imion. Traktowano ich w rodzinnym domu Władzi jak kuzynów, którzy przyjechali do rodziny na wieś z miasta. Chłopcy chcąc odwdziżyć się za otrzymaną pomoc i wielkie serce gospodarzy, w miarę możliwości pomagali w pracach w i tak już bardzo opustoszałym gospodarstwie. Rąbali drewno na opał, o ile takie w ogóle było, nosili wodę z żurawia, doglądali kur i świni, którą jakimś cudem udało się zdobyć. Każdego dnia Władzia modliła się o ochronę bożą dla żydowskich chłopców. Pewnego razu wścibska sąsiadka wypatrzyła kręcących się u Zawadzkich nieznamomych,

przyszła do ich domu i wypytywała o „intruzów”. Praprababcia Agata tłumaczyła, że to jej siostrzeńcy, ale sąsiadka nie dała się łatwo przekonać, wypytywała dlaczego nie chodzą z nimi na niedzielne nabożeństwa i czy oby na pewno są katolikami, była bardzo podejrzliwa. Wtedy Joachim, zwany u nich Jankiem, stanął przed kobietą i zaczął płynnie recytować „Ojciec Nasz” i „Zdrowaś Maryjo”. Zapytał, czy ma jeszcze zmówić litanie, żeby uwierzyła w to co mówi jego ciocia. Sąsiadka zmieszana się i opuściła dom Zawadzkich. Joachim podziękował Władzi za użyczenie swojego modlitewnika, dzięki niemu bowiem w sytuacji zagrożenia mógł „udowodnić swoją polskość”. Od tej pory wszyscy stali się ostrożniejsi, chłopcy nie opuszczali domu, a często zmuszani byli do chowania się w specjalnie przygotowanej skrytce pod podłogą. Latem 1944 roku tereny ponownie zostały zajęte przez Armię Czerwoną. Moja prababcia nie pamiętała, co działo się w tym czasie z Joachimem i Jonaszem, prawdopodobnie już ich nie było w ich domu, ale nie była w stanie przywołać w pamięci okoliczności opuszczenia domu przez chłopców. Wiele lat po wojnie jeden z nich – Jonasz, który do końca życia pozostał już Ryśkiem – odnalazł ich na Ziemiach Odzyskanych i dziękował za uratowanie życia.

Sowieci nie mieli litości dla nikogo. Siali strach i pogrom wśród mieszkańców wioski. Grabili, gwałcili, zabijali. A czego nie udało im się zabrać to niszczyli. Kiedy sowieccy żołnierze odkryli, że Zawadzcy hodują świnie, co było wtedy zakazane, wpadli w szal. Wyprowadzili całą rodzinę z domu, ustawili pod ścianą, wymachiwali do nich karabinami celując w każdego po kolei. Żołnierze byli pijani, chwiali się na nogach, krzyczeli i śmiali się na przemian. Władzia ścisnęła w rękę swój mały modlitewnik i prosiła Anioła Stróża o ocalenie. I stał się cud. Nagle na podwórze, nie wiadomo skąd, z impetem wbiegł spłoszony koń z uczepionym wozem. Żołnierze w popłochu rozproszyli się po podwórku zapominając o rodzinie Zawadzkich, która w cichej rozpaczy żegnała się już z życiem. Władzia wierzyła, że to Anioł Stróż zesłał tego konia i uratował im życie, gdyż Sowietów już do nich nie wrócili.



Prababcia zapamiętała jeszcze jedną, bardzo ważną sytuację związaną z modlitewnikiem. Nie pamiętała kiedy dokładnie miało to miejsce, ale któregoś dnia, gdy pilnowała swojego młodszego braciszka, przez okno wpadł granat. Władzia od razu skierowała swój wzrok na półkę gdzie leżała jej komunijna książeczka, jej Anioł Stróż. Nie zastanawiając się ani sekundy, z modlitwą na ustach, pochyliła się nad granatem i nie myśląc o niebezpieczeństwie wzięła go do ręki, wybiegła na zewnątrz i rzuciła najdalej jak mogła. Wybuch nastąpił po chwili, tuż za ich płotem, uszkadzając tylko część szopy. Moja prababcia do końca swoich dni zastanawiała się jak to możliwe, że rzucony granat do domu nie wybuchł, że został jej dany czas na wyniesienie go i wyrzucenie poza ich gospodarstwo i dopiero tam granat eksplodował. Według niej była to ochronna dłoń Anioła Stróża podarowanego jej wraz z modlitewnikiem w dniu Pierwszej Komunii Świętej.

Ten wspaniały modlitewnik towarzyszył Władzi podczas długiej drogi, już po wojnie, ze wschodu na zachód, kiedy całą rodziną wędrowali w poszukiwaniu nowego domu. W poszukiwaniu swojego nowego miejsca na ziemi. Był z nią zawsze. Chronił ją i jej rodzinę. W chwilach zwątpienia, w chwilach smutku i zagrożenia brała go i przytulała do swojego serca prosząc Anioła Stróża o jeszcze jedną łaskę i opiekę. Teraz ten bardzo już zniszczony modlitewnik jest w moim domu. Dostała go moja mama, tuż przed odejściem prababci do innego, oby lepszego świata. Do świata bez wojen i niesprawiedliwości, do świata, w którym ochrona Anioła Stróża nie będzie jej już potrzebna. Teraz ten sam Anioł Stróż czuwa nad naszą rodziną, to jego opiece powierzyła nas prababcia Władzia zamykając oczy na zawsze.

Osiemdziesiąt lat temu, mała Władzia uwierzyła, że wraz z modlitewnikiem, pod tak wymowną nazwą: „Anioł Stróż – skarbczyk modlitewny”, został podarowany jej prawdziwy Anioł Stróż. Wydarzenia kolejnych lat utwierdziły ją w tym przekonaniu i pogłębiły wiarę w anielską opiekę nad nią i nad jej rodziną.



Kacper Omietański

Szkoła Podstawowa nr 74 im. S. Grońskiego w Szczecinie

Moja pamiątka rodzinna

Pośród otaczających nas przedmiotów są rzeczy brzydkie i piękne, stare i nowe oraz takie ponadczasowe, w których drzemie duch czasu kilku pokoleń. Do rzeczy takich starych i ponadczasowych, ale oczywiście pięknych, należą stary, wiszący zegar po moich pradziadkach.

Zegar ten zawsze wisiał na ścianie w salonie u moich pradziadków, a później u dziadków, a po ich śmierci, tata zabrał go do naszego domu i teraz ten stary, ale sprawny zegar, zdobi ścianę naszego przedpokoju. Patrząc na niego i słuchając jego tykania, przypominam sobie jak dziadek opowiedział mi, w jaki sposób zegar znalazł się w posiadaniu moich pradziadków.

Miałem dziesięć lat jak dziadek opowiedział mi historię naszego zegara i zapewne wszystkiego dobrze nie zapamiętałem, ale jedno wiem na pewno, że zegar ten jest symbolem, pamiątką, a nawet symbolem miłości, jaka połączyła moją prababcie Agnieszkę z moim pradziadkiem Czesławem.

Pradziadek urodził się w 1914 roku w Filadelfii na emigracji. Po powrocie do Polski osiedlił się w Warszawie. Wówczas pradziadek miał 22 lata. Po zasiedleniu na warszawskiej Pradze, pradziadek podjął pracę jako urzędnik państwowy, gdzie w miejscu swojej pracy poznał swojego przyjaciela oraz prababcie, swoją przyszłą żonę. Przyjaciel pradziadka Emil, również poznał w tym samym czasie swoją bratnią duszę, którą była koleżanka prababci, Eleonora. Bardzo szybko rozkwitło między parami gorące uczucie. Całą czwórką chodzili na wspólne potańcówki, spacerowały i obiady po pracy. Układali wspólne plany, a podczas biurowych przerw wychodzili na hol na krótkie rozmowy przy śniadaniu, kawie i tykającym głośno zegarze. Niestety ich wspólne plany i marzenia skradła wojna, która wybuchła właśnie wtedy, gdy obie pary postanowiły wziąć ślub, oczywiście w tym samym czasie i w tym samym kościele. Jednak rzeczywistość okazała się inna, zimna, okrutna i bezlitosna. Przyszła wojna, która zniweczyła wszystko. Miejsce, w którym pracowali zostało zajęte przez Niemców. Jednak wcześniej cała czwórka postanowiła wynieść zegar, symbol ich przyjaźni, codziennego świadka ich wspólnej sympatii i rozkwitającej miłości



między obydwoma parami. Zegar wynieśli do piwnicy i ukryli w najciemniejszym i najmniejszym zakątku, gdyż piwnica była bardzo długa i ciemna i znajdowała się w podziemiach, rozchodzących się w różne części miasta, a której używali po części jako archiwum. Postanowili ukryć zegar i obiecali sobie, że jeżeli ich drogi rozdzieli wojna, to po jej zakończeniu spotkają się w tym miejscu, aby odzyskać zegar, jeżeli przetrwa.

Stało się tak jak przeczuwali. Wojna rozdzieliła ich losy. Prababcia z koleżanką trafiły do obozu koncentracyjnego, a pradziadek z kolegą wyruszyli bronić kraju, maszerując bombardowanymi drogami pogrążonymi w chaosie, jak to opowiadał dziadek. Nie pamiętam już dokładnie całego przekazu dziadka, ale wiem, że przyjaciel pradziadka Emil, został zastrzelony na jego oczach, kiedy chciał pomóc dziewczynce, która płacząc chodziła po bombardowanej ulicy, szukając swojej mamy. Ukochana Emila, Eleonora zmarła w obozie koncentracyjnym, na rękach prababci z głodu i wycieńczenia, za co prababcia trzymając ją w ramionach niemal sama nie przypłaciła życiem.

Pradziadek przeżył wojnę, walcząc w wielu miejscach i odnosząc wiele ran oraz widząc ogrom ludzkiej krzywdy. Dlatego też stracił wszelką nadzieję na spotkanie z Agnieszką. Codziennie modlił się, aby wojna się skończyła i marzył o tym, że odszuka prababcię. Kiedy jedno z marzeń pradziadka się ziściło i Niemcy ogłosili kapitulację, postanowił wrócić do Warszawy, gdyż wojenne drogi zaprowadziły go, aż pod Gdańsk. Pierwszym miejscem, które postanowił odszukać było jego dawne biuro. Budynek był w miarę w dobrym stanie, gdyż przez całą wojnę przebywali w nim Niemcy. Długo nie miał odwagi wejść do środka, zwłaszcza do piwnicy. Codziennie przychodził pod wejście wypatrując ukochanej Agnieszki i koleżanki Eleonory, jednak nie zdobył się na odwagę, aby pójść i sprawdzić czy zegar przetrwał.

Pewnego niedzielnego poranka, gdy stał pod wejściem, zobaczył stojącą po drugiej stronie ulicy kobietę, wpatrzoną w budynek, a może nawet w niego samego. Kobieta stała nieruchomo, a obok niej stał w całej okazałości biurowy zegar. Była to prababcia Agnieszka. Pradziadek nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Jak się okazało prababcia została zabrana z obozu, do ich dawnego biura jako robotnik przymusowy, wówczas jak Niemcy dowiedzieli się, że miejsce przez nich zajęte prababcia bardzo dobrze zna, a ponadto znała także język niemiecki. Po ogłoszeniu kapitulacji, pierwszą rzeczą jaką zrobiła było zabranie zegara i ucieczka w bezpieczne miejsce.

Z tego co opowiadał dziadek, jego rodzice bardzo szybko się pobrali i zamieszkali razem w jednym z opuszczonych domów pod Warszawą.

W 1949 roku przyjechali do Szczecina. Do końca ich dni w ich salonie wisiał duży, głośno tykający zegar, przy którym pradiadkowie codziennie, jak tylko mogli, pili kawę, aby uczcić pamięć ich przedwojennych, wspólnie spędzonych czasów z przyjaciółmi.

Dlatego też, kończąc tę opowieść chciałbym, a nawet myślę, że powinienem opisać pokrótce naszą pamiątkę po moich pradiadkach, która skrywa tak wiele miłych i tak wiele smutnych wspomnień.

Zegar ma ciemnobrązowy kolor i prostokątny kształt. Jest masywny i ciężki, a jego obudowa wykonana jest z twardego, mocnego drewna. Pod warstwą lakieru są widoczne maleńkie pęknięcia i dziurki. Obudowa jest delikatnie rzeźbiona. W jego górnej części za drzwiczkami z szybką widnieje metalowa o biało-złotym kolorze tarcza, a na niej czarne cyfry, oznaczające godziny. Po tarczy poruszają się długie, czarne wskazówki. Cyfry są zwykle, ale bardzo ładne, są to cyfry arabskie. Podobnie wskazówki. Są cieniutkie i smukłe, a na końcu tej krótszej znajduje się strzałka w kształcie smukłego listka. Do tarczy przymocowane jest długie, ruchome wahadło. Ono również jest metalowe, całe w złotym kolorze, o gładkiej powierzchni i okrągłym kształcie. Zegar głośno wybija równe godziny i półówki.

Bardzo miło i przyjemnie jest siedzieć i słuchać tykania naszego starego zegara, w którym jest jeszcze życie i mocny duch. To piękna rodzinna pamiątka z tak trudnych czasów. Mam nadzieję, że jeszcze długo z nami zostanie, gdyż jak wspomniałem na początku, uważam, że jest to symbol wielkiego uczucia jakie przetrwało tak trudną próbę czasu. Czasu chwilami okrutnego i smutnego, który jakby pomyśleć nie pozostawiał żadnej nadziei na ponowne spotkanie, nawet przetrwanie. Jednak się udało. Przetrwał zegar, przetrwali ludzie i przetrwało uczucie jakie ich połączyło, miłość.



Amelia Soroka

Szkoła Podstawowa nr 1 im. Henryka Sienkiewicza w Białym Borze

Tajemnice mglistych wzgórz...

Atlas wspomnień

„Już piszę. Przecież wykreowałam wspaniały plan. Już sięgam po długopis. Już piszę”. Ech, byłam tak beznadziejna w kłamaniu, że nie umiałam przekonać nawet samej siebie. Bezcelowo wpatrywałam się w lustro nad jesionowym biurkiem. Niby w poszukiwaniu natchnienia, a jednak wewnętrznego spokoju. Przez mały lufcik między ciemnymi zasłonami wdzierały się karłowate ogniki. Gryzmoliły coś na skrawku papieru, a ja nadal czułam jakby drobnusieńkie pióro ważyło tony. W głowie miałam w zasadzie pustkę i jednocześnie od groma pomysłów. Nagle poczułam, jak do mojego pokoju przedostaje się woń miodowej herbaty. Przez dziurkę od klucza słyszałam głośnie nakręcanie zegara przez tatę. To rozpraszało mnie jeszcze bardziej, a ja wciąż siedziałam przed pustą kartką...

Pisanie wypracowań zawsze sprawiało mi przyjemność i satysfakcję. Mogłam przenieść się do wymyślonej przez siebie krainy. Jedynym ograniczeniem była moja wyobraźnia. Najbardziej lubiłam opisywać przyrodę. Ludzie zawsze wydawali mi się być wielką, otwartą księgą, natomiast naturę mogłam interpretować na różne sposoby. Wszelako tym razem wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

– Kto w ogóle wymyśla takie tematy: „Atlas wspomnień”? Przecież to brzmi jak tytuł jakiegoś albumu, a nie literatura – irytacja dalszym brakiem pracy przez cały czas mnie nie opuszczała.

– Coś mówiłaś? – pytała zdeorientowana mym ekspresywnym wzrokiem mama.

– Nic takiego – wystraszyłam się. – Tak tylko mruczę pod nosem – szybko wybrnęłam z sytuacji. Wytłumaczyłam to moimi rozmyślaniami o niebieskich migdałach.

W pewnym momencie doznałam natchnienia. Zaczynałam zapisywać kolejne zdanie, a tu znowu on! To było ponad moje siły. Jedna chwila i czar prysł. Miałam wrażenie, jakby ścigała mnie pechowa, niewidzialna ręka. Wstałam z impetem i cisnęłam na ziemię kolejną kartkę zapelnioną rządka-
mi nic nieznaczących liter. Ile można słuchać tego samego, trzeszczącego zegara. Co pół godziny, daje znać o swojej obecności w naszym domu, a bije tak głośno, że nie sposób sobie o tym nie przypomnieć.

– Tato, czy my naprawdę nie możemy go zdjąć? On nawet nie pasuje do tego wnętrza. Na rynku dostępnych jest tyle naprawdę pięknych, nowoczesnych „liczników czasu” – próbowałam przekonywać, powoli tracąc cierpliwość.

Tym razem rodzice nie bawili się w tłumaczenie i wygłaszanie wychowawczych regulek: „Jak dorośniesz, to zrozumiesz”. Takie słowa powodowały, że czułam się jak mały, niezdolny przedszkolak. Oboje chwycili mnie za rękę i kazali włożyć buty. Co to wszystko miało znaczyć? Wiele razy zastanawiałam się, dlaczego ten stary rupieć ciągle zajmuje miejsce w naszym domu? Nie mogłam zrozumieć tego, po jakie лихо moi rodzice chcą go zatrzymać. Ba, a nawet pielegnować i odrestaurowywać! Wszakże, kiedy wpatrywałam się w ten zegar, czułam jakby coś dziwnego, a zarazem niesamowitego było z jego strony. Jak gdyby chciał coś wykrzyknąć. Jego dźwięk często budził mnie w środku nocy. Dla wielu może się to wydawać co najmniej irracjonalne, ale według mnie sprawiał wrażenie przerażającego. Jednak była w nim pewna enigmatyczność, która zastanawiała mnie najbardziej. Cóż bowiem było w nim tak niezwykłego, że gdy tylko wydawał z siebie odgłos, wszystkich przesywał delikatny, a zarazem przyjemny dreszcz...?

Nie musiałam długo czekać na rozwiązanie zagadki. Mijaliśmy właśnie leciwy most prowadzący do rodzinnego domu taty. „Ale zaraz, zaraz. Co babcia miałaby mieć wspólnego z zegarem?” – to wprowadziło mnie w jeszcze większe zdumienie! Aż w końcu, jak za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki, ten pałacy głód wiedzy został zaspokojony.

Zostałam wtajemniczona w zawiłą historię zegara, historię najstarszych pokoleń mojej rodziny. Wyprężyłam się jak struna, kiedy babunia dokończyła opowieść. Poczułam, jak żołądek „fika salto” w moim brzuchu. Swoje znaki także zaprezentowała moja wrażliwa natura. Jak w ogóle przez głowę mogła mi przejść myśl o wyrzuceniu go na złom! Nigdy wcześniej nie zagłębiałam się w przeszłość moich najbliższych. Zdawało mi się to... No właśnie, co mi się zdawało, co ja myślałam? Zaczęłam więc dokładne poszukiwania, niczym prawdziwy „Detektyw Gadżet”. Pytałam wielu, szukałam niemal w każdym zakamarku i w końcu „doszłam po nitce do kłębka”. Jak się później okazało, mamy więcej takich rodowych perełek po przodkach. Uznałam jednak, że to ten zegar zasługuje na szczególne wyróżnienie. Wiadomości te wywarły na mnie tak ogromne wrażenie, iż nie potrafię opisać ich zwyczajnymi ludzkimi słowami. Pozwólcie, że na tę jedną chwilkę zamienię się w waszego narratora i podzielę się z wami skromną opowieścią o mojej pamiętce rodzinnej.

Bieszczadzkie chwile

Był rok 1914. Boso wracała z bieszczadzkiego lasu. W borach poloneza urządziły sobie naprzemiennie mrok, cień i jasność. Żdźbła zbóż finezyjnie laskotały ją w stopy. W dłoni niosła kosz pełen chrustu, a w powietrzu unosiła się wiosenna aura. Delikatny wietrzyk muskał jej młodziutką twarzyczkę. Był to dzień niezwykle ciepły. Słońce swymi promieniami pastwiło się nad soczystą, zieloną trawą, a jego iskry mieniły się w rześkich wodach, niczym złocisty deszcz. Pośród przegniłych od ostatnich roztopów śniegu liści, stroiły się konwalie, niejako maleńkie elfy ukolysane w trawie i bzy rozlewające się puszystą, aksamitną pianą. Ponure, jeszcze ospale drzewa, ubierały swe seledynowe żakieciki i cukierkowe rękawiczki. Po drodze zatrzymała się nad brzegiem strumieni Sanu. Rzeka ta malowniczo szklila się we wszystkich kolorach tęczy. Z chwilą nachylenia się nad wartką wodą zauważyła w dali jego odbicie. „Czy to naprawdę on? To niemożliwe!” – pomyślała w ciszy. Raptem wypuściła z rąk kosz i pobiegła w jego stronę. Jej lśniące niczym kryształ włosy rozwiewały poddmuchy wiatru. To było jedno z tych nielicznych powitań bez słów. Tak rozumieli się najlepiej – milcząc. Zarzuciła swój kruczoczarny warkocz na szyję mężczyzny i wtuliła się w jego ramiona. Czuła jak jego ciepło przesywa jej ciało. Wargi namiętnie dygotały, a ona patrzyła na niego beztroskim, lecz pełnym niedowierzania wzrokiem. Oczy błyszczały jej od napływających łez. Wyglądały jak małe szkiełka. Serce przekrzykiwało strzały wojennych karabinów, które często słyszeli w pobliżu.

– Chyba nie wątpiłaś w mój powrót? – nie mógł odczytać jej zagadkowego spojrzenia. – Toż obiecałem ci przecie, że wrócę. Gwiazdy mi są świadkiem – odezwał się jakby z napięciem w głosie.

Zaczerwieniły się jej miękkie policzki, po których spływały słodkie perły szczęścia. Nic więcej dookoła się nie liczyło. Cały świat zamienił się w bezkresną pustynię, bez żadnego początku ani końca. Nareszcie poczuła w sobie tę radość. O tej porze roku wszystko ożywało i szykowało się na przyjscie lata, lecz bez jej ukochanego było tak naprawdę martwe. Wprawdzie ten okres w ciągu roku sprawiał jej najwięcej przyjemności, jednakże nie mogła się nim w pełni cieszyć. Pewnie, Drogi Czytelniku, zastanawiasz się, co powodowało tę gorycz. Odpowiedź jest prosta, nawet prostsza, niż na wiele innych pytań. Mimo, iż dla większości teraz wydaje się to nierealne, a czasem i fikcyjne, to nikt z nas nie przeżył tego bólu po utracie czegoś najcenniejszego, swojego największego skarbu – ojczyzny i wielkiej miłości.

Muszę nadmienić, że prapradziadkowie Anna i Stanisław urodzili się w czasach gdy Polska przestała być niezależnym państwem. Razem wychowywali się w niewielkiej wsi Hołuczków w Bieszczadach. Znali się od dziecka. Nazywano ich papużkami nierozłączkami. Wszyscy dziwili się, jak dziewczynka może przeskakiwać przez płoty, wspinać się na drzewa i bawić się jak chłopiec. Toteż gdy dorośli, ich nierozzerwalna przyjaźń przerodziła się w głębokie uczucie. Jakież to oni mieli szczęście, że mogli pobrać się z własnej, nieprzymuszonej woli, co wówczas zdarzało się bardzo rzadko. Uwienieniem ich sympatii miało być wesele i gromadka dzieci. Tymczasem sytuacja panująca na świecie pokrzyżowała im plany. Doszło do konfliktu między Rosją i Austrią, a Stanisław został przymusowo wcielony „do branki”. Do dziś nie wiadomo, po jakiej stronie walczył. Może sami domyślicie się dlaczego. Ta wiadomość zbiła Annę z nóg. Wiedziała, że powrót przyszłego męża prawie graniczy z cudem, lecz przez cały czas się nie poddawała. Swoją wiarę powierzyła jasnej jak nocne świetliki gwiazdzie...

Tak minęły trzy lata, a słuch po nim zaginął. Początkowo wymieniali się listami, ale z czasem i to ustalo. Kobieta udała się kilkakrotnie do siedziby Polskiego Czerwonego Krzyża, ale tam nie otrzymała żadnej, konkretnej informacji. Niejedna osoba twierdziła, że Anna jak najszybciej powinna wyjść za mąż za jednego z kawalerów lub – co gorsza – wdowców z przynajmniej ośmiorgiem dzieci. Uważano, że Stanisław zaginął i już nie wróci lub też postanowił odejść od narzeczonej. Ania co wieczór spoglądała w niebo i widziała tę samą, błyszczącą gwiazdkę, która z każdym dniem świeciła coraz to mocniej. W głębi duszy czuła bliskość ukochanego i głęboko wierzyła w jego powrót.

Tymczasem wrócmy już do tamtego poranka. Oblubieńcy udali się do domu Anny, gdzie poinformowali rodzinę o przyjeździe Stanisława. Wieści szybko rozeszły się po okolicy, lecz nie dla wszystkich była to wspaniała wiadomość. Wszelkie oczekiwania związane z zaślubinami z panną legły w gruzach. Konkurenci wiedzieli, że nie mają szans z szaleńczo zakochanym mężczyzną. Tym bardziej, iż był on handlarzem w Sanoku, gdzie prowadził własny sklep. Narzeczeństwo przez długi czas nie mogło się sobą nacieszyć, ale postanowiło jak najszybciej zacząć przygotowania do ślubu. Upływały dni, a w Hołuczkowie, aż huczalo o najbliższym weselu.

Wkrótce nadeszła wiekopomna chwila, a w domach państwa młodych panowała podniosła atmosfera. Ogród był przystrojony polnymi kwiatami i białymi wstęgami, przygotowywanie potraw dobiegało końca, a desery wymagały jedynie najbardziej wyczekiwanej przez dzieciaki degustacji. Na koniec wykładano nakrycia dla zaproszonych gości.

– Tadziu, przyjdź no tutaj. Pomożesz mi zdjąć tę piękną zastawę z pólek. Miałam ją na własnym ślubie i chcę, aby także oni mogli się nią cieszyć – poprosiła z podekscytowaniem matka panny młodej.

– Oj, ciociu, czy naprawdę muszę – wirował oczami po niebie. – Rzeźbimy z wujem kólecza na sznurkach i kijku. Dobrze już, dobrze. Pędzę.

– Zuch chłopak. Taka postawa mi się podoba. A teraz ja wejdę na krzesło i będę przekazywała ci kolejno filiżanki, a ty położysz wszystkie tam, na stole. Tylko proszę, bądź ostrożny – podśpiewywała pod nosem piskliwe piosenki o kukułkach.

– Będę uważny.

Kobieta podała siostrzeńcowi już dwie bulionówki i nagle, gdy przekazywała trzecią, niefortunnie trąciła resztę ręką. Jeszcze pięć takich eleganckich kubeczków spadłoby z trzaskiem na ziemię! Na szczęście wydarzyło się coś niespodziewanego. Bum, bam, bom! Tadeusz, który stał obok, za jednym zamachem złapał je wszystkie w swoje ręce. To było tak zdumiewające, że mało brakowało, a musiałby również łapać spadającą z krzesła ciotkę. Już wcześniej inni zauważali, iż miał on niesamowity refleks, jednak nikt nie spodziewał się, jak w przyszłości Tadziu postanowi wykorzystać tę umiejętność. Został cyrkowcem! Musiał przebyć długą drogę przez wzloty i upadki, ale po latach ciężkiej pracy, dopiął swego. Na pamiątkę, gdy i on się żenił, cały ten zestaw podarowała mu chrzestna Zosia. Ale pozwól Drogi Czytelniku, że będzie to już historia na inne, herbatkowe spotkanie.

Wracając do Anny i Stanisława, stres, a zarazem ekscytacja towarzyszyły im od początku dnia. Nie upłynęło dziesięć godzin, gdy zostali formalnie małżeństwem. Ten czas mógłby się wydawać przeraźliwie długi, lecz dla nich, w porównaniu do tak długotrwałej rozłąki, to była lilipucia chwila.

Zaproszeni goście bawili się wspaniale. Wszyscy tańczyli, śmiali się, śpiewali i kosztowali smakołyków. Czerwcową pogodą także dopisywała i cieszyła się wraz z innymi tym wydarzeniem. Zapach kwitnących pąków, pełnych barw traw i kłosów zbóż, potrafiły zawrócić w głowie niejednego człowieka. W oddali widoczne zachodzące za górami słońce, niczym ognisty krąg, gasnący w wodach rodzimej rzeki San. Stwarzało to bajkowy obraz, jakby wymalowany przez światowej sławy artystę. Chociaż mimo wszelkich starań, nikomu nie udało się go odwzorować tak jak samej matce naturze. Jeśli potraficie sobie wyobrazić najpiękniejszy widok w waszym życiu, to z pewnością wyglądałby on tak jak krajobraz tamtego wieczoru.

Wesele trwało do białego rana. Wszyscy wspominali je z uśmiechem na twarzy. Następnego dnia nowożeńcy przeglądali podarunki od gości. Bardzo cieszyli się z każdego upominku do nowego domu. W pewnym momencie ich wzrok przykuł drewniany, masywny zegar z wyraźnie rysowanymi słojami. Wyglądał tak dostojnie i wytwornie. Ach! To był dopiero prawdziwy kunszt zegarmistrzowski. Miał kształt przybliżony do prostokąta, a po bokach znajdowały się niesamowite rzeźbienia. Uwagę przyciągała również figura konia na samej górze zegara. Wyglądał jak jeden z tych wierzchowców dumnie biegających po bieszczadzskich pagórkach. Przednie kopyta podniesione miał ku niebu, jakby bronił czegoś cennego. Może chroni własnego terytorium? Swoją posturą wydawał się być nieustraszony, jednak po dłuższym wpatrywaniu się, można było w jego oczach zobaczyć lęk, niepewność, niepokój, a nawet strach. Zamknięty pod przezroczystym szkiełkiem cyferblat, był biały, a wokół układały się pozłacane pierścienie. Zaś sarmackie wahadło, zawsze dbało o pamięć. Ale o czym? Było centrum dowodzenia, szefem tej machinerii. Ogół otaczała sosnowa, lakierowana pokrywa, stanowiąca pewien kres, rubież. Izolowała go w zasadzie od całego otoczenia. W moich oczach zegar ten tworzył swego rodzaju arkadyjską krajinę, wraz ze swoimi pracowitymi chochlikami, aprobującymi pieśniami, orędownikiem oraz wzorowym władcą. Zarówno Anna jak i Stanisław nie mogli oderwać wzroku od majstersztyku, do którego dołączona była karteczka:

Wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia.

Niech ten zegar łączy Waszą rodzinę przy wspólnych spotkaniach i będzie niezapomniana, pamiątka, po tym wspaniałym dniu.

*Oddany całym sercem,
Michał Wróbel*

Oboje bardzo się wzruszyli, czytając te słowa. Czuli się wyróżnieni w oczach tak uznawanej w okolicy osoby. Z panem Michałem poznali się, gdy ten potrzebował pomocy dla swojej córki Elizy. Dziewczynka bardzo chorowała, a wszystkie dolegliwości znosiła ciężko, gdyż towarzyszył jej ogromny ból mięśni. Znajomość ta nawiązała się, gdy jegomość udał się do sklepu Stanisława. On poradził mu po krótkiej rozmowie, aby ten zwrócił się pod wskazany adres, do jego matki. Kobieta wręczyła mu mieszankę naturalnych ziół rozgrzewających. Jak się okazało, po podaniu ich dziewczynie, ból ustępował, a chora szybko wracała do zdrowia.

To „czasomierz” jako pierwszy został powieszony w ich mieszkanku. Stał się prawdziwym symbolem rodziny Hołowaczów, naprawdę z niemalym znaczeniem sentymentalnym. Niedługo po tym, w 1916 r. urodził się im syn Michał, który imię otrzymał właśnie po Wroblu.

Jak grom z jasnego nieba - rok 1947

– Czy to nie za późno?

– Dajmy im trochę czasu. Dziś wolny dzień, więc po co się spieszyć? Niech się ludzie w spokoju pomodlą – rzekł porucznik z wymalowaną kpina na kamiennej twarzy. Nawet milczące głązy wyrażały więcej współczucia, niż on.

– Cóż, jak pan uważa.

– To był wspaniały pomysł, aby zorganizować to właśnie w niedzielę. Nie trzeba się spieszyć, tak jak poprzednio. Pamięta pan tych ludzi? Umęczyli nas, co niemiara – coraz to bardziej slychać jego sepleninę.

– Tego nie da się zapomnieć – przytaknął posłuszny szeregowy.

Rzeczywiście. Był to siódmy dzień tygodnia, a większość osób właśnie wybierała się na uroczystą mszę do cerkwi. Poranek ten w zasadzie nie różnił się niczym od innych dni, ale dla mieszkańców okolicznej wsi miał to być najgorszy dzień w ich życiu i ostatni...

Chłód wdzierał się do wioski drzwiami i oknami. Mimo że był to dopiero koniec lipca, pogoda zmieniała się z każdym dniem coraz bardziej. Niebo spowijały żelazne chmury. Obraz ten nie przypominał barwnego, letniego krajobrazu, który wszyscy znamy z baśniowych opowieści, a raczej smutek, rozżalenie i tęsknotę. Chmurzyska kręciły się po niebie, coś mówiły, przed czymś ostrzegały, ale nikt ich nie słuchał. Może wtedy...

Minęło już tak wiele czasu, odkąd syn Hołowaczów wydorósł, a nawet się ożenił. Jego wybranką była Maria, z domu Baran. To ona wypełniała całe życie oraz serce Michała. Nikt więcej nie był mu tak bliski jak ona. Cóż z rodzicami? – zapytacie. Anna i Stanisław zginęli w 1943 roku w czasie II wojny światowej. Nie wiemy na pewno, jak do tego doszło, lecz prawdopodobnie stało się to w czasie naglej, przez nikogo nieoczekiwanej łapanki. Jednak była jeszcze jedna rzecz, która wywoływała u niego uśmiech na twarzy. Był nią oczywiście ten pokaźny zegar. Nieustannie przypominał mu o rodzicach, o wszystkich beztróskich chwilach, wspomnieniach. Był dla niego atlasem, mapą życia.

– Synu, nie jesteś już małym chłopcem. Dorosłeś. Dziś dzień twoich zaślubin i pragnę, abyś to ty kontynuował naszą rodzinną tradycję.

Szanuj wszystkich, którzy cię otaczają, zarówno te osoby, które przyniosą ci radość, pomoc, ale także te, które przysporzą smutków. Na swojej ścieżce, będą się one przeplatały jak klawisze w fortepianie, lecz sam dobrze wiesz, że nie ma człowieka ani dobrego, ani złego. Zostają po nich jedynie uczynki, które pozwalają nam decydować, czy chcemy podtrzymywać daną relację, czy też nie. Troszcz się o Marysię i dzieci, gdyż to one przyniosą ci w życiu najwięcej pociechy i dumy. Pamiętaj, to największa wartość życiowa. Michale, teraz ty przejmujesz pałeczkę. Choćby nie wiem, co się działo, dbaj o to, by ten zegar na wieki pozostał w naszej rodzinie. Kiedyś i ty przekażesz go swojemu potomkowi. Patrz, synu, to lite drewno i solidny mechanizm. Strzeż go jak oka w głowie – wypowiedział te słowa ze łzami w oczach.

Takie zachowanie było do Stanisława niepodobne. Każdy w okolicy uważał go za przysłowiowego „twardziela”, lecz tym razem mężczyzna nie mógł walczyć z emocjami. Nie potrafił ukryć swojego wzruszenia, gdyż czuł do niego tak ogromną, ponadludzką miarę tkliwości.

– Nie zawiodę cię tato – zaręczał, po czym czule, tak najzwyczajniej, bez żadnych wymyślnych słów, przytulił się do ojca. Zrobił to tak, jak nie robi nikt – nie łapiąc rozczulenia z promieni, a mając to światło ukryte głęboko w sobie.

Tymczasem w cerkwi nastąpiła cisza. Do kaplicy wszedł pułkownik. Miał czarne, błyszczące buty i elegancki mundur. Czuł się pewnie, ale czy na pewno był zadowolony? Wszyscy osłupieli na jego widok, za chwilę później rozległ się głos odbijający się szerokim echem po drewnianych ścianach.

– Proszę dokończyć nabożeństwo, lecz to już ostatni raz, kiedy odprawiacie mszę dla tych ludzi. W zamian za to obiecuję wszystkim tu zebranym wycieczkę w nieznane. I to za darmo! – wtrącił prawdziwie lekceważącym głosem. – Jutro o świcie opuścicie tę wioskę. Resztę niuansów omówimy sobie na placu. Przepraszam za najście – zsalutował i wyszedł z podniesionym czołem ze świątyni.

Dookoła rozbrzmiał gorzki płacz kobiet. Nikt nie mógł zrozumieć zaistniałej sytuacji. Wszyscy zadawali sobie tylko jedno pytanie: „Dlaczego?”.

– Nie płaczcie w Dzień Pański, bo to nie pasuje. Dokończmy liturgię, a potem się pomodlimy za szczęśliwą podróż w nieznane... – starał się uspokajać kapłan. Po zakończeniu modlitwy duchowny dodał jeszcze kilka pożegnalnych słów:

– Nie trąpcie się, moi drodzy. My się jeszcze tu spotkamy. Szybciej lub później, ale się spotkamy. Ja w to wierzę. A teraz wyjdziemy na zewnątrz i posłuchajmy, co jeszcze oficer ma nam do powiedzenia.

Dowódca pulku wyczytywał kolejno nazwiska wysiedlanych osób oraz roztrząsał kilka drobnych szczegółów. Wiele osób sprzeciwiało się temu nakazowi, ale nikt nie mógł się od niego odwołać. Ani jedna osoba nie stanowiła wyjątku od reguły. Rozgorączkowany ludzie błagali go, aby nie nakazywał wyjazdu. Mimo to stał nieugięty i za każdym razem powtarzał „Mam rozkaz wysiedlić wszystkich mieszkańców tej wsi, podkreślam wszystkich. Zrobię to tak samo sumiennie, jak w innych miejscowościach. Moja cierpliwość również ma granice”.

Marysia i Michał wspólnie zasiedli przy stole i płonącej żywym ogniem świecy. Oni także nie mogli pogodzić się z podjętą decyzją. Trapiła ich myśl o przymusowym opuszczeniu rodzinnej miejscowości. Przez lata rosły tu te same kwiaty, grzyby, trawy oraz lasy, które były świadkami wychowania tak wielu dzieci. Mgliste, tajemnicze wzgórza i zmienna, jak chorągiewka na wietrze pogoda stały się nierozdzielną częścią ich życia.

– Michał, ja nie dam rady...

– Nie martw się, Marysiu. Mnie także jest z tym bardzo ciężko, ale poradzimy sobie. Zobaczysz. Nie mamy na to żadnego wpływu.

– Przecież to jest nasze miejsce na ziemi. Tu mieliśmy wychowywać nasze dzieci. Jak my będziemy się z innym porozumiewać. Toż to tereny niemieckie. Z Niemcami będziemy mieszkać? – wzburzona i zirytowana kontynuowała.

– Nie wiem, kochana – trzymał ją za zimną, siną dłoń. – Myślisz, że już wszystko spakowaliśmy? – rozglądał się skupionym wzrokiem.

– Tak mi się wydaje.

Nagle rozległ się dźwięk zegara, wybijającego godzinę jedenastą w nocy.

– Ach! Jeszcze zegar! To najważniejsza rzecz. Jak mogliśmy o niej zapomnieć – mężczyzna krzyknął zdenerwowany.

– Naprawdę? Myślisz teraz o zegarze. Fakt, jest niesamowicie piękny, ale w nim nie ugotuję obiadu, ani go nie zjem. Jest tam zbędny, a w dodatku może przysporzyć nam kłopotów – Marysia stara się przekonać męża.

– Jak możesz tak mówić? Od kołyski wiesz, ile on dla mnie znaczy.

– W takim razie jak zamierzasz go przewieść? Jest duży i od razu rzuca się w oczy. Widziałeś spojrzenie Ludowców na takie przedmioty – tłumaczyła zniecierpliwiona Maria.

– Może... nieważne jak. Zrobię to za wszelką cenę.

– Dobrze rozumiem, że chcesz ryzykować nawet własne życie, aby chronić jakiś tam zegar?

– No właśnie nic nie rozumiesz. Tylko to zostało mi po matce i ojcu. To tak, jakbym miał ich tu zostawić samych.

– Pewnie będziesz uważała, że z drzewa spadłem, ale mam pewien pomysł... Zawiniemy go w pierzynę. Pod taką warstwą puchu, nikt go nie zauważy...

Jechali już przeszło dziewięć godzin. Bydłące wagony to nie był szczyt ich marzeń, ale najważniejsze, że mieli siebie nawzajem. Hołowacze nie mieli jeszcze własnych dzieci, jednakże nie podróżowali sami. W tobołku upakowane były pierzyny, a w nich zawinięty zegar naturalnie. Oboje mieli nadzieję, iż pod taką warstwą puchu, nikt go nie dostrzeże.

– Całą noc nie zmrzyłeś oka, prawda? – zapytała Maria przejęta widokiem sinych powiek Michała.

On jedynie pokręcił głową, potwierdzając jej przypuszczenia. Na przekór przesądom, nie czuł zmęczenia. Przez cały czas siedział jak na gwoździach w obawie przed oficerami. Emocje, jakie w sobie tłamsił, nie pozwoliły mu odetchnąć nawet na chwilę. Wiedział, że jeszcze moment i będą w pełni bezpieczni...

Kiedy wychodzili z wagonu, niespodziewanie jeden z pracowników służb państwowych rozkazał im pokazać cały bagaż. Sprawdzali, czy nikt nie ma przy sobie broni, złota, pieniędzy i burżuazyjnych arcydzieł. Małżeństwo było pewne, że już minęło wszelkie niebezpieczeństwo, a takie kontrole przeprowadza się na początku podróży. Wyglądało na to, że ktoś nie dopilnował w stu procentach swoich obowiązków. Wszelako szczęśliwe zrządzenie losu sprawiło, że niewyspany funkcjonariusz po całej nocy patrolu, ich skrzynie przeglądał bardzo pobieżnie. Nie zwracał na to szczególnej uwagi, toteż nie doznał „zaszczytu” natknięcia się na przedmiot. Im samym ciężko było uwierzyć, jaką niesamowitą wręcz Opatrznością obdarzył ich Bóg. Kiedy opuścili furmankę, nie odezwali się ani słowem. Jedyne spoglądali w swe głębokie, ciemne oczy, a Michał uśmiechał się do ukochanej. Wiedzieli, iż ten zegar jest znakiem ich rodzinnego szczęścia i jeszcze przez wieki będzie wybrzmiewał w domach kolejnych potomków.

Ale... to jeszcze nie koniec...

Pradziadkowie Maria i Michał zamieszkali na Ziemiach Odzyskanych w miejscowości Pieniężnica w województwie zachodniopomorskim. Wkrótce urodziła im się czwórka dzieci: Anna, Jan, Stefan i Maria. Nielatwo im było przyzwyczaić się do nowego otoczenia, ale po kilku latach pokochali także Pieniężnicę. Mimo to Hołowców na zawsze pozostał w ich sercach.

Po uzyskaniu dorosłości babcia Ania wyszła za Stefana Sorokę, który również pochodził z Bieszczad, a jego bliskich wysiedlono w czasie Akcji Wisła w 1947 roku. Właśnie im został dalej przekazany pamiątkowy zegar. Pielęgnowali go przez lata swojej wzajemnej miłości. Następnie dziadkowie podarowali go moim rodzicom w prezencie ślubnym. Jestem taka dumna, że teraz my możemy kultywować tę tradycję. Mam nadzieję, że jeszcze przez stulecia będzie dalej odmierzał dni w mojej rodzinie i zapisywał na swoich wskazówkach jeszcze wiele takich wspaniałych historii. W końcu nie wiemy, co nas w życiu czeka, a czas dalej tyka: tik-tak, tik-tak...

Ojej! Ale się rozpisalam. Cóż, nie przewidziałam tego, a tak bardzo chciałam opisać wam nie tylko to, jak zegar pojawił się u moich prapradziadków, ale dodać też kilka słów, jak znalazł się on w moim domu. Przyjechał przecież, aż z drugiego końca Polski. Doprawdy nie jest to historia wielkich herosów. Wszakże w moich oczach miłość i pamięć o drugiej osobie, jaką mieli w sobie moi przodkowie, sprawiają, że dla mnie są i zawsze będą bohaterami. Dzięki opowieści babci tamtego poranka zrozumiałam, jak ważne są wspomnienia i sentymenty. W końcu napisałam także wypracowanie „Atlas wspomnień”. Muszę przyznać, iż zupełnie zmienił się mój punkt widzenia. W końcu natchnęło mnie do działania. To takie niezwykle, iż mimo upływu już 107 lat, on wciąż przypomina nam o codziennych spotkaniach z rodziną. Wprawdzie tata wymienił zaśnieżoną tarczę i zawiózł go do eksperta w Gdyni, aby ten mógł zrobić jeszcze kilka innych poprawek. Wiem dokładnie, że nie wygląda identycznie jak sprzed ponad wieku, ale to co najważniejsze, nadal w nim pozostało. Tego nie zmieni nawet najwybitniejszy zegarmistrz. Historia ta uświadamia, jak ważny jest kontakt z najbliższymi i chęć spędzania wspólnych chwil razem. Dlaczego teraz, tak często zamykamy się przed sobą? Mam nadzieję, że ta pamiątka rodzinna pozostanie z nami na wiele wspaniałych lat. Dawniej nie doceniałam takich rodowych skarbów. Teraz jednak uważam, że to najpiękniejsze „ustrojstwo”, jakie znajduje się w naszym domu. Na tym historia się jednak nie kończy.

Mieliśmy do wypełnienia jeszcze jedną, arcyważną misję – powinność, której nie zdążył dokonać dziadek Stefan. Od lat chciał wybrać się na południe kraju, w swoje rodzinne strony, lecz życie pokrzyżowało jego plany. My postanowiliśmy je zrealizować. Spotkaliśmy tam naszych krewnych. Widzieliśmy pole, gdzie dawniej mieściła się chałupka pradziadków, porastały je drobne rośliny, krzaki i chwasty. Odwiedziliśmy jeszcze jedno

miejsce, które samo w sobie było wielką zagadką. To stara, wielobarwna cerkiew, w której odbywały się wszystkie, największe uroczystości. Zawarto w niej związek małżeński Anny i Stanisława oraz ochrzczono ojca mojego taty. Nieopodal pobliskiego lasu znaleźliśmy również nadszarpięty zębem czasu cmentarzyk. Dopatrzyliśmy się na nim kilku bliskich nam nazwisk, wypisanych w języku polskim, ukraińskim, żydowskim i niemieckim. Nie spodziewaliśmy się niczego podobnego. Byliśmy przekonani, że nie odśzukamy tam żadnych śladów po przodkach. Możecie sobie wyobrazić, jakie było nasze zdziwienie, gdy odkryliśmy tyle niesamowitych miejsc i faktów.

Chciałabym wiedzieć jeszcze więcej o zegarze, a nawet więcej, niż najwięcej. Nawet wspólna podróż tam, gdzie zaczęły się dzieje mojej rodziny, a co za tym idzie nierozzerwalna z nią kronika zegara, nie rozwikłała wszystkich zagadek. Nigdy nie dowiem się wszystkiego, nawet zwiedzając tamte rejony, bo cała ta tajemnica zapisana jest we wzgórzach kochanych Bieszczad, które strzegą jej jak największego skarbu...



Zastawa ślubna Tadzia



Pamiętkowy zegar



Zabytkowa cerkiew w Hołuczkwie



Aleksandra Szewczuk

Publiczna Szkoła Podstawowa w Bezzreczu

Księga wiary i nadziei

Moi przodkowie pozostawili po sobie różne pamiątki, które pozwalają poznać ich losy oraz historię i obyczaje panujące w czasach, kiedy żyli. Jedną z najcenniejszych rzeczy w mojej rodzinie jest „Zbiór nabożeństwa ku czci Boga, Najświętszej Maryi Panny i Świętych Pańskich dla wygody wiernych chrystusowych, a mianowicie w Arcy Bractwie Różańca



Świętego zostających przez Ks. Damiana Dzieszekowskiego Ś.T.D. Ex-Prowincyała Zakonu Kaznodziejskiego ułożony”. Książka została wydana w Warszawie, w Drukarni Ignacego Krotoszyńskiego w 1863 roku. Polska znajdowała się wtedy pod zaborami. Warszawa wcielona była do Księstwa Warszawskiego, nad którym władzę sprawował car Rosji. W 1863 roku w Warszawie trwało powstanie styczniowe. Stąd przed wydrukowaniem dzieła konieczne było uzyskanie zgody w Komitecie Cenzury w Warszawie. Podpisał ją w dniu 18 kwietnia 1863 roku pełniący obowiązki cenzora, Assessor Kolegialny I.A. Rogalski. Dzieło zawiera głównie modlitwy i wskazówki, jak należy postępować. Zamieszczono w nim także wiele informacji praktycznych, jak terminy rozpoczęcia pór roku, tablica świąt ruchomych czy kalendarz roczny. Mimo faktu, iż w trakcie publikacji Polska była w niewoli, „Zbiór nabożeństwa ku czci Boga...”

wydany został w języku polskim. Tylko nieliczne fragmenty wydrukowano po łacinie. Niektóre modlitwy i litanie ozdobiono obrazkami Matki Boskiej Częstochowskiej, Jezusa Chrystusa i Świętych patronów. Książkę oprawiono w skórzaną okładkę ozdobioną tłoczonymi wzorami. Obecnie obwoluta jest już w znacznej mierze



zniszczona. Brakuje ostatnich kartek i tylnej części okładki. Na szczęście większość z pozostałych 392 stron dzieła zachowana została w dobrym stanie.

Opisywany egzemplarz „Zbioru nabożeństwa ku czci Boga...” nabyli wkrótce po jego opublikowaniu, prawdopodobnie jeszcze w 1863 roku moi przodkowie – Szewczukowie mieszkający wtedy na Roztoczu, w miejscowości Bondyrz należącej wówczas do Księstwa Warszawskiego. Moi praprapradziadkowie byli bardzo pobożnymi ludźmi, stawiającymi wiarę w Boga jako najważniejszą wartość w życiu. Należeli do grona wielkich i oddanych patriotów. Każdego dnia marzyli o wolności Ojczyzny. Gorliwie modlili się o zakończenie okresu niewoli. Mieli nadzieję, że Bóg wysłucha ich prośb i wkrótce car przestanie nimi rządzić. „Zbiór nabożeństwa ku czci Boga...” służył im nie tylko do rozmowy z Bogiem i wzmacniania wiary, ale również do nauki czytania w języku polskim. Bowiem w związku

z kolejnymi restrykcjami wprowadzanymi przez rosyjskiego cara wobec Polaków, w tym postępującej rusyfikacji coraz ciężiej było znaleźć podręczniki w naszym ojczystym języku. W pewnym momencie zabroniono nawet posiadania literatury opublikowanej w języku polskim. W mojej rodzinie korzystano potajemnie ze „Zbioru nabożeństwa ku czci Boga...”. Czytając dzieło, modlono się o wolność kraju, a jednocześnie dbano o to, aby nie zapomnieć języka polskiego.



go. Dzięki tej książce kolejne pokolenia dzieci w trakcie trwania zaboru rosyjskiego mogły poznawać nie tylko modlitwy, ale też polskie litery i ćwiczyć czytanie. Dzieło było skrzętnie pielęgnowane oraz chowane do skrytki najpierw przez moją prapraprababcie, a potem przez kolejne pokolenia. Wspólnie odprawiane modlitwy ze „Zbioru nabożeństwa ku czci Boga...” dodawały mojej rodzinie nadziei na lepsze jutro. Pomogło to przezwyciężyć trudy carskiej niewoli oraz I wojny światowej.

W końcu nastąpił rok 1918 r. i Polska odzyskała niepodległość! Dzieci wróciły do polskich szkół, gdzie w końcu oficjalnie zaczęto uczyć języka polskiego. Książka z modlitwami już nie musiała być chowana przed wrogiem. Jednak nadal była skrzętnie pielęgnowana. W tym czasie był już na świecie mój pradziadek Janek. „Zbiór nabożeństwa ku czci Boga...”

posłużył jemu w przygotowaniach do Pierwszej Komunii Świętej, którą przyjął w Sanktuarium Matki Boskiej Krasnobrodzkiej. Czas w wolnej Polsce szybko mijał. Pradziadek dorósł, zakochał się i ożenił. Jednak radość i szczęście rodziny nie trwały zbyt długo.

W 1939 roku wybuchła bowiem II wojna światowa. Pradziadek i jego brat zostali zmobilizowani do wojska. I znowu „Zbiór nabożeństwa ku czci Boga...” posłużył rodzinie do gorliwej modlitwy o zakończenie działań wojennych i szczęśliwy powrót synów do domu. Po raz kolejny dodawał wiary i nadziei na szczęśliwe zakończenie okresu okupacji niemieckiej. Modlitwy prapradziadków i prababci zostały wysłuchane. Pradziadek z bratem szczęśliwie przeżyli, a wojna zakończyła się kolejnym odzyskaniem wolności naszej Ojczyzny.

Kilka lat po drugiej wojnie światowej pradziadek Janek wraz z prababcią Michaliną zakupili ziemię rolną w powiecie hrubieszowskim, w miejscowości Modryniec (województwo lubelskie). Mieli nadzieję, że dzięki temu rodzina będzie żyła w dobrobycie. Wyjechali tam wraz ze swoimi synami: moim dziadkiem Antosiem oraz jego braćmi bliźniakami Adamem i Stasiem. Jednak wkrótce komunistyczne władze Polski zaczęły nakładać coraz więcej nakazów na „obszarników rolnych”. Coraz trudniej było wywiązać się z kolejnych obowiązkowych dostaw płodów rolnych oraz mleka i zwierząt. Spracowanych i sponiewieranych pradziadków nazywano kulakami. I znowu pomocny okazał się „Zbiór nabożeństwa ku czci Boga...”, który dodał im wiary i nadziei na lepsze jutro. Dzięki modlitwom w nim zawartym nabrali oni sił do dalszej pracy i starań o dobre wychowanie synów. Wspólnie przetrwali kolejny kryzys i dożyli starości u boku dzieci, wnuków i wnuczek – jedną z nich jest moja mama.

Obecnie „Zbiór nabożeństwa ku czci Boga...” znajduje się w naszym domu. Nadal jest szanowany i chowany w pudeleczku w miejscu niedostępnym dla niewtajemniczonych. Dbamy o niego, chociaż nie jest już na szczęście publikacją zakazaną. Jednak na zawsze pozostanie dla naszej rodziny księgą wiary i nadziei, która łączy przez wieki kolejne pokolenia i pomaga przetrwać wszelkie przeciwności losu.



Maja Turek

Szkoła Podstawowa nr 3 im. Polskich Olimpijczyków w Nowogardzie

Zdjęcie

W każdej wolnej chwili chętnie jeździłam do cioci. Podobał mi się jej dom, w którym było dużo miejsca i panowała niezwykła, magiczna wręcz atmosfera. Czułam się tam swobodnie i interesowało mnie w nim wiele rzeczy. Zawsze zastanawiałam się, co znajduje się za dużymi, drewnianymi drzwiami i kilka razy próbowałam się tam dostać, lecz za każdym razem były zamknięte.

Pewnego dnia wraz z mamą uczestniczyłam w pogrzebie mojej prababci. Byłam smutna, dzień był szary i ponury, i wraz ze mną płakały wszystkie chmury na niebie. Po ceremonii pojechałam do cioci. Długo rozmawialiśmy o prababci i słuchałam opowieści o jej życiu. Na drugi dzień ciocia zabrała mnie do tajemniczego pokoju. Znajdowało się w nim dużo starych, zakurzonych przedmiotów. Był to niesamowity widok. Oglądałam wszystkie pamiątki, które były częścią życia moich przodków, ale największą ciekawość wzbudził we mnie stary portret. Był przykryty poźółkłym prześcieradłem i leżał na komodzie z rzeczami prababci. Było to dość stare zdjęcie i nie wiem dlaczego, ale mnie zainteresowało. Ciocia powiedziała mi, że na portrecie jest jej dziadek Józef Kozłowski i że dostała je od swojej siostry. Nie byłoby to nic szczególnego (choć dla bliskich każda pamiątka jest szczególna), gdyby nie fakt, że przedstawia ważną postać historyczną, Józefa Kozłowskiego „Lasa”, żołnierza AK, komendanta Okręgu XVI Narodowego Zjednoczenia Wojskowego.



Długo nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam. Zaczęłam się zastanawiać, czy to prawda. Moja ciekawość narastała z każdą minutą, więc postanowiłam poszukać dodatkowych informacji w Internecie. Moje serce zaczęło bić szybciej, gdy znalazłam wpis: Józef Kozłowski „Las”, „Vis”, „J. Kawecki” urodził się 19 marca 1910 r., w Demeniu (dzisiejsza

Łotwa), był synem Michała i Teodory. W latach 1931–1932 służył w Wilnie. Był w jednostce zwanej „Legionem Polskim”. Uczestniczył w operacji „Burza”, gdzie dołączył do 5. pułku ułanów AK dowodzonych przez „Asa” (Kazimierza Stefanowicza). Dalszą działalność kontynuował w Obwodzie AK-AKO Ostrołęka. Jesienią 1945 r. przeszedł do „XVI” Okręgu NZW do „Młota”. Dokonał reorganizacji „XVI” Okręgu NZW. Walczył z przestępczością pospolitą, uruchomił grupy partyzanckie. 25 czerwca 1948 r. został razem ze swoim sztabem otoczony i pojmany. Ranny został przewieziony do Warszawy i przeszedł ciężkie śledztwo. Następnie 29 kwietnia 1949 r. został skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie na śmierć. Bierut nie skorzystał wobec niego z prawa łaski. Został zamordowany strzałem w tył głowy 12 sierpnia 1949 r. w warszawskim więzieniu na ul. Rakowieckiej. Razem z nim zginęli jego najbliżsi współpracownicy: „Sęp”, „Klon” i „Nałęcz”¹. W Ostrołęce nazwano ulicę na jego cześć, a w filmie *Historia Roja, czyli w ziemi lepiej slychać* ukazana jest m.in. jego postać.

Zadziwia mnie fakt, że ta stara, prawie stuletnia fotografia wisząca obecnie u cioci na ścianie jest symbolem takiej historii i takiego człowieka... Nie mamy potwierdzonych informacji, w którym dokładnie roku i przez kogo zostało zrobione to zdjęcie, ale przez lata przechowywała je jego córka Krystyna. To właśnie ona przekazała zdjęcie swojej córce, a mojej cioci, Agnieszce. Właściwie jest to jedyna pamiątka z ich rodzinnego archiwum, która przetrwała i jest w posiadaniu tejże wnuczki, ponieważ ciocia Kryśka już zmarła. Z rozmowy z cicią Agnieszką wynika, że wszelkie dokumenty i rzeczy po dziadku zostały spalone, jak powiedziała ciocia: „Takie były czasy...”. Oczywiście istnieją dokumenty i zdjęcia z działalności Józefa Kozłowskiego, ale są one w posiadaniu Instytutu Pamięci Narodowej.

Tak moja ciocia opowiedziała mi o tym zdjęciu: „To stare zdjęcie było kiedyś u nas na strychu. Odnowiłam je i powiesiłam u mamy w pokoju. Mama nie mówiła prawie nic o swoim tacie, bo była wtedy mała i niewiele pamiętała. Ciotki trochę opowiadały, ale bardzo mało, bo to był bardzo ciężki okres dla nich. Ciągłe musiały się przenosić, uciekać w inne miejsca, bo ich prześladowano. Babcię często brali na przesłuchania. Zamykali ją w jakimś strasznym pomieszczeniu i lali zimną wodą pod ciśnieniem. Bili, wyzywali, poniżali i grozili. Chcieli z niej wyciągnąć, gdzie jest „Las”. Dziadek, żeby dali im spokój, znalazł sobie „leśną żonę” – tak się wtedy mówiło, dzięki temu miały trochę spokoju. Mama mówiła, że w szkole

¹ Eliza Radzikowska-Białobrzeska, *Pięcioro bobaterów odzyskało nazwiska – Warszawa, 1 marca 2015*, <http://www.ipn.gov.pl> [dostęp: 14.02.2021].

wyzywali je, że są córkami bandyty. Pamiętała również, że gdy dziadka złapali i miała odbyć się rozprawa, i wiedział już, że dostanie wyrok śmierci, to przez pewną osobę przekazał wiadomość, żeby babcia z moją mamą przyjechały na rozprawę, bo tylko raz widział swoją maleńką córkę. Kiedy babcia z moją mamą tam pojechały, to ludzie podali mamę do dziadka, a dziadek ją tak mocno przytulił i ucałował, że ona zaczęła płakać, z bólu, bo ją pokłuli brodą i ze strachu, bo taki był zarośnięty...”

Historia „Lasa”, jego najbliższej rodziny, ale i wielu polskich żołnierzy wykłętych jest tragiczna i wielka jednocześnie. Szczątki Józefa Kozłowskiego odnaleziono na powązkowskiej „Łączce”, w miejscu, w którym znajdował się chodnik (na zdjęciu ciocia Agnieszka z bratem Mariuszem w miejscu, w którym odnaleziono szczątki ich dziadka).

Dzięki grupie pracowników IPN kierowanej przez dr. hab. Krzysztofa Szwaagrzyka i Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie oraz przy współpracy z Uniwersytetem Medycznym we Wrocławiu udało się, pozyskując materiał genetyczny od trzech córek, zidentyfikować i potwierdzić tożsamość Józefa Kozłowskiego „Lasa”.

1 marca 2015 roku odbyła się w Pałacu Prezydenckim uroczystość wręczenia not identyfikacyjnych rodzinom ofiar terroru komunistycznego. Wśród nich znaleźli się: Marian Kaczmarek „Paweł”, Stanisław Kutryb „Ryś”, Edward Pytko, Danuta Siedzikówna „Inka” oraz Józef Kozłowski „Las” „Vis” „J. Kawecki”. Uroczystość była bardzo podniosła i wzruszająca. Jak powiedział Prezydent RP Bronisław Komorowski: „Poprzez identyfikacje, a także poprzez budzenie przekonania, że nawet najtragiczniejszy fragment naszej historii musi być przeżywany – bo inaczej zwyciężyłaby myśl o tym, aby zbrodnie ukryte uczynić zbrodniami nieważnymi”. Nasza rodzina była na tej uroczystości i mogła poczuć tragizm tamtych wydarzeń, jednocześnie czując ogromną dumę ze swojego przodka.

Szczątki Józefa Kozłowskiego złożono w Panteonie – Mauzoleum Wykłętych-Niezlomnych na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie.

Ciocia była również w 2018 roku, w 70. rocznicę, w lesie koło Ostrołęki, gdzie odbywała się rekonstrukcja wydarzeń z 1948 roku, podczas której mogła zobaczyć w jaki sposób złapali dziadka i jego grupę. Uroczystości Rozbicie schronów „Lasa” zorganizowali rekonstruorzy z Kurpiowszczyzny.

Patrząc na zdjęcie Józefa Kozłowskiego dzisiaj, po wysłuchaniu opowieści cioci, poznaniu Jego historii i zebraniu tych wszystkich informacji,

rozpiera mnie duma. Jest ono nie tylko pamiątką rodzinną chowaną przez lata na strychu, ale przede wszystkim symbolem niezłomnej, patriotycznej postawy w walce o niepodległość i najwyższego poświęcenia w obronie Ojczyzny.

Mam nadzieję, że ta historia dotrze do ludzi młodych, takich jak ja, urodzonych w wolnej Polsce i poruszy ich serca. Chciałabym zakończyć moją pracę cytatem Władysława Belzy: „W czyjem sercu miłości tleje, I nie toczy go zgnilizna, W tego duszy wciąż jaśniej: Bóg, Rodzina i Ojczyzna”. Józef Kozłowski to syn, mąż, ojciec, dziadek, żołnierz, który przelał krew w obronie Ojczyzny i za nią poniósł śmierć.



Eliza Numryk

Szkoła Podstawowa im. Leśników Polskich w Piasku

Pamiętka rodzinna

Pamiętką, która od wielu lat jest w naszej rodzinie i jest dla nas niezwykle cenna, jest maszyna do szycia największego producenta maszyn na świecie – Singera. Jest ona bardzo stara, ma ponad 140 lat i aktualnie jest dekoracją oraz niebanalnym dodatkiem wnętrza salonu mojej babci Heleny.



Maszyna ta została wyprodukowana w Niemczech najprawdopodobniej przed rokiem 1880. Napędzana jest za pomocą korbki i pedału napędu, który wprawiany jest w ruch siłą mięśni. Nieznana jest nam data produkcji tej maszyny, ale możemy domyślać się, że wyprodukowano ją przed rokiem 1880, ponieważ w tym właśnie roku został zastosowany w maszynach tego typu silnik elektryczny Edisona, który stopniowo wyparł z rynku maszyny napędzane siłą mięśni. O dacie produkcji może świadczyć również znak towarowy. Przez dziesiątki lat firma Singer miała wiele różnych znaków, które przytwierdzała do głównego filaru swoich maszyn. Od 1875 roku domowe maszyny Singera miały mosiężną plakietkę z wytłoczonym napisem „THE SINGER MANFG. CO. TRADE MAR”. Taki właśnie znak znajduje się na naszym urządzeniu.

Kiedy maszyna została wyniesiona z rodzinnego domu mojej prababci, nie prezentowała się zbyt atrakcyjnie. Wystarczyło jednak dokładnie usunąć warstwę kurzu, aby ujrzeć jej piękno. Pradziadek sam wykonał do

niej blat z solidnego drewna, w którym umieścił schowek na całe urządzenie i wiele szufladek na niezbędne drobiazgi. W każdym elemencie widać dbałość o najdrobniejsze detale oraz kunszt i serce włożone w to, aby urządzenie było idealne. Lata odcisnęły jednak na niej swoje piętno. Błyszczący kiedyś lakier, którym pokryto drewno, dziś jest matowy i odrapany, a żelazne nogi



pokryte są już rdzą. Mimo to maszyna nadal zachwyca nas swoim wyglądem i historią, która jest równie ciekawa, jak samo urządzenie.

W roku 1942 Niemcy wkroczyli do miejscowości Istebna-Jasnowice, gdzie mieszkali moi pradziadkowie, Helena i Jan Haratykowie. Niemcy zmusili ich do podpisania dokumentów, po czym pradziadkowie zostali przewiezieni do miasta Brig (obecny Brzeg), który znajdował się na terenach niemieckich, i zostali zmuszeni do ciężkiej pracy w polu i na gospodarstwie. Ponieważ pradziadek Jan umiał szyć, zimą, gdy na polu nie było zbyt dużo pracy, szył czapki, ubrania oraz mundury dla niemieckich żołnierzy, zarówno te codziennie, jak i galowe.

Po pewnym czasie prababcia zaszła w ciążę, a gdy nadszedł czas porodu, chciała urodzić dziecko na terenach polskich, w miejscowości, w której mieszkała przed laty. Warunek Niemców jednak był taki, że musiała wrócić do Brig zaraz po urodzeniu, bo w przeciwnym razie pradziadek mógłby stracić życie. Prababcia dotrzymała słowa i powróciła do Brig z synem, którego tam wychowywała, ciężko pracując do 1945 roku. Pod koniec wojny Niemcy wycofali się z zajmowanych terenów, a zamiast nich wkroczyły wojska radzieckie. Pradziadkowie mogli wówczas wrócić do domu. Droga ta była dla nich niezmiernie ciężka, ponieważ pradziadek wszystko, co posiadał, niósł wiele kilometrów na własnych plecach, a wśród tych rzeczy była właśnie maszyna do szycia Singera. Przez wiele kolejnych lat pradziadek zajmował się szyciem, a nawet nauczył tej sztuki prababcie, która szyla na tej maszynie piękne suknie. Wiele kobiet ceniło jej talent i przyjeżdżało do niej, by szyla im suknie ślubne oraz sukienki dla druhen. Do dziś wśród rodzinnych pamiątek mamy fotografię, na której uwieczniono przyszłą pannę młodą wraz z druhenami. Jedną z druhen była moja prababcia, ta po prawej stronie. Była wtedy bardzo młoda i cieszę się, że zachowało się to zdjęcie, ponieważ mogę zobaczyć jak wyglądała i jak piękne suknie potrafiła uszyć.



Obecnie maszyna ta nie jest przez nikogo wykorzystywana, bo mało kto dziś szyje samodzielnie ubrania, ale dla nas ma ona szczególne znaczenie. Wiązą się z nią ważne momenty z życia moich przodków. Maszyna ta „widziała” wiele lez, ale też wiele szczęśliwych chwil. Początkowo to pradziadek wiele godzin spędzał przy niej, szyjąc mundury dla obcej armii, później stała się ona jego jedyną zapłatą za ciężką pracę w Brig i ogromnym ciężarem, z jakim musiał zmagać się podczas powrotu do domu. W końcu stała się urządzeniem, które sprawiało wiele radości prababci, która szyla ubrania dla swoich dzieci i piękne suknie na wyjątkowe okazje.

Będę dbała o tę maszynę i jej historię, żeby kolejne pokolenia mogły ją również poznać i docenić wartość tego urządzenia, jak ja.



Szymon Myszczyzyn

Szkoła Podstawowa nr 6 w Szczecinie

Moja pamiętka rodzinna

Każda rodzina ma swoją historię. Najpiękniejsze jest to, że te historie są nakreślone na piasku, nie wykute w granicie. To cudowne - ponieważ możemy je zmieniać. Możemy uwolnić się od kłamstw i spojrzeć w oczy prawdzie. I żyć dalej.

Diane Chamberline

Rodzina daje niesamowitą więź emocjonalną, która scala różne osoby reprezentujące kilka pokoleń, w jeden organizm, szczególnie w ciężkich chwilach. Dlatego bardzo ważne są dla nas pamiętki z nią związane, które dla innych nie posiadają żadnej wartości, a dla osób dziedziczących je są bezcenne. Przypominają nam związane z nimi wydarzenia, sytuacje, osoby, miejsca. Pamiętki rodzinne stanowią nasze prywatne muzeum, są świadectwem tego skąd pochodzimy, kim byli nasi przodkowie, czego doświadczyli, jakie mamy korzenie. Przedstawiają naszą tożsamość i wartości, które cenimy, nierzadko drogie nam osoby, których już wśród nas nie ma.

Przybliżę historię pamiętki związanej z moją rodziną, którą jest komplet posrebrzanych łyżeczek do herbaty. Rodzina mojej, już wśród nas nieobecnej, babci Zosi, która zamieszkiwała przed 1939 rokiem rejon Baranowicz (obecnie Białoruś).



Łyżeczki, choć posrebrzane, były jedynym cennym przedmiotem, otrzymanym w prezencie ślubnym przez moją prababcie Marię i pradziadka Felicjana, który przetrwał zawieruchę wojenną. Łyżeczki te pradziadkowie otrzymali od swojego dalekiego kuzyna – Platona, który będąc wykształconym człowiekiem, i podróżując w drugiej połowie XIX w., przywiózł je z Królestwa Polskiego. Wuj Platon będąc bardzo czytany człowiekiem, widząc zachwyt prababci Marii z jak na ówczesne czasy oryginalnego prezentu, zapytał w kilka dni po ślubie nad malowniczo położoną rzeką Myszanką:

– Marysiu czy Ty wiesz dlaczego sprezentowałem Wam te posrebrzane łyżeczki?

– Platonie – odpowiedziała prababcia. – Ty podróżujesz, jesteś mądry, my w naszym gospodarstwie używamy łyżek drewnianych i aluminiowych, stąd nadziwić się nie mogę skąd ten pomysł? Przecież te łyżeczki są takie piękne i drogie, więc raczej sobie zdajesz sprawę, że nie będziemy ich używać na co dzień?

– Otóż to! To znaczy, wierzysz już w tej chwili, że jest to rzecz cenna, bo mimo, że ze stali pokryte są srebrem. Ja w takim razie opowiem Ci historię ludzkości, mającą związek ze srebrem.

Prababcia bardzo lubiła słuchać długich historii Platona, dlatego z niecierpliwością oczekiwała na jego opowieść.

Platon zamyślił się i swoją gawędę rozpoczął od najdawniejszych czasów, czyli Sumerów, którzy pojawili się nawet pięć tysięcy lat przed narodzinami Chrystusa, odkryli, że srebro jest przejawem bogactwa. Następnie wspominał o Sumerach, którzy uznali, że poza bogactwem srebro nie znaczy wiele, jak choćby miedź, czy też brąz, których można było używać do wykonania różnego rodzaju prostych narzędzi. Te metale też swego czasu były drogie, ale powoli się upowszechniły. Sumerom też pewnie podobały się wyroby ze srebra, ale tak naprawdę to sama natura przypisała cenność temu kruszcowi: było go bardzo mało, było idealne na błyskotki i ozdoby. Ale i srebro jako rzadki metal, spełniać zaczęło wraz ze złotem funkcję pieniądza.

Platon niczym wytrawny nauczyciel opowiadał o kolejnych epokach, królach, filozofach:

– I srebro, podobnie jak złoto robiło coraz większą karierę... Arystoteles jednakże stwierdził, że gdyby ludzie odebrali srebru funkcję pieniądza, byłoby jedynie błyskotką, ale przez tysiąclecie tak się nie stało! Wprost przeciwnie. Fuggerowie augsburscy wydobywający ołów, miedź

i srebro na Śląsku dostarczali ten metal nie tylko do mennicy królewskiej w Krakowie, ale i do całej Europy.

Prababcia była zaskoczona, że w Polsce także wydobywano srebro, kuzyn wspomniał o kopalni srebra w Tarnowskich Górach, która to kopalnia po stuleciach panowania dynastii Habsburgów i Hohenzollernów oraz po plebiscycie i III Powstaniu Śląskim w 1921 roku, znalazła się w granicach odrodzonej II Rzeczypospolitej.

Prababcia zapytała więc, dlaczego zatem na świecie jest tyle biedy i ludzie ciężko muszą pracować, skoro można byłoby obdarować każdego częścią srebra, czy złota i wydobywać więcej tych szlachetnych metali. Platon szybko opowiedział, o grabieży złota i srebra przez Europejczyków w okresie podbojów kolonialnych, i o katastrofie nadmiaru kruszców w Portugalii i Hiszpanii, potwierdzając tezę, że bogactwem narodów jest człowiek, jego praca i umiejętności, zaś kruszce mogą ułatwiać wymianę towarów, a w nadmiernej ilości mogą okazać się katastrofą. Prababcia powoli rozumiała, że kuzyn chciał dać jej coś prostego, cennego, a zarazem niezniszczalnego. Wiedział dobrze, że w chwilach ciężkich warto takie przedmioty posiadać, aby móc oddać je tylko dla ratowania życia, zdrowia. Kuzyn prababci też cicho wierzył w to, że Marysia będzie przekazywać ten prezent swoim potomkom.

Jeśli ktoś myśli, że tak zakończyła się ta opowieść Platona to jest w błędzie. Platon jako osoba pobożna chcąc przestrzec swoją kuzynkę przed zachwytem srebrem i innymi bogactwami zakończył przytoczeniem cytatu ze Starego Testamentu Księgi Przysłów: „Lepszy szacunek niż wielkie bogactwo, lepsze uznanie niż srebro i złoto”.

Babcia zapłakała cicho, kiedy dowiedziała się o śmierci kuzyna, który zginął podczas II wojny światowej w walce przeciwko hitlerowskiemu najeźdźcy. Wówczas uzmysłowiła sobie, że srebrne łyżeczki są dla niej bezcenne, i nie dlatego, że są srebrne, tylko że przypominają jej błogie lata i wielką mądrość Platona.

Okazało się, że po pożodze wojennej prababcia wraz z najbliższymi musiała opuścić rodzinny dom i gospodarstwo rolne, przyjaciół. Pozostały jedynie wspomnienia, których ludziom nie jest w stanie zabrać nikt. Wspominki z przyjazdu w nowe nieznanne miejsce były przepelnione niepokojem, lękiem, obawą o jutro, a łyżeczki ciągle jej towarzyszyły, kiedy krzątała się po kuchni przygotowując posiłki i sprząając.

Bardzo lubiłem słuchać opowieści babci o jej dzieciństwie oraz zabawach nad rzeką Myszanką i olbrzymią rzeką Niemen. Często opowiadała

również o zwiedzaniu Wilna, w tym Ostrej Bramy oraz odpustach i jarmarkach z nimi związanych, o stacji kolejowej w Baranowiczach. Zawsze w jej wspomnieniach wyczuwałem tęsknotę za tamtym miejscem, ludźmi, zapachami, potrawami.

Łyżeczki, które zachowały się w naszej rodzinie, przekazano najpierw w prezencie mojej babci Zosi, która z kolei przekazała je w prezencie ślubnym moim rodzicom. Z zachwytem słuchałem opowieści o wujku Platonie i prababci Marysi i całej historii dla mnie wcześniej najzwyklejszych łyżeczek. Patrząc na te łyżeczki, wyobrażam sobie moją babcię, jako małą dziewczynkę. Oczami wyobraźni widzę jej ówczesny świat, za którym tak tęskniła. Nagle te proste, pospolite łyżeczki stały się dla mnie symbolem rodziny, jej trwania i przemijania pokoleń. Teraz nie dziwię się, że mama używa ich do zastawy tylko podczas wyjątkowych okazji.

Jest to jedynie dowodem, że drobne przedmioty codziennego użytku stają się naszą rodzinną skarbnicą, a przekazywanie ich kolejnym pokoleniom pobudza do myślenia, pokazuje zawile losy rodzin, ale także jest dowodem, że niezależnie od miejsc i wydarzeń historycznych, na które zwykli ludzie nie mają wpływu, rodzina trwa a kolejne pokolenia poznają swoich przodków. Muszę dodać, że ta historia zainspirowała mnie i zachęciła do odwiedzenia Zabytkowej Kopalni Srebra w Tarnowskich Górach.



Rafał Pietruczyk

Szkoła Podstawowa w Długolęce

Opowieść w obrazku zamknięta

Moja babcia Ewelina. Kim jest dla mnie? Ciepłą, rodzinną, pogodną i kochaną kobietą. Ma już swoje lata, bo w tym roku kończy 92 i coraz mniej pamięta ze swojej przeszłości, coraz bardziej zapada się w sobie, coraz trudniej się z nią rozmawia. Jakiś czas temu usłyszałem od niej pewną historię, historię, która nadal żyje nie tylko w pamięci babci, ale jest także zamknięta w pewnym niewielkim obrazku. To opowieść o ludziach wywiezionych na Sybir. Ile osób deportowanych, tyle historii z tym związanych, ale opowiadanie mojej babci jest jedyne, bo dotyczy jej przeszłości, a przeszłość mojej babci, to przeszłość mojego taty i moja. Dotyczy rzeczy, które uczyniły moją babcie silną. To też moja przyszłość, bo daje mi siłę, by iść naprzód.



– Mamo, boję się... – szepnęła przerażona jedenastoletnia Ewelina (przez rodziców nazywana Welą), mocno wczepiając się rękoma w koszulę nocną stojącej obok niej matki. – Mamo... – matka tylko mocniej przytuliła do siebie drżącą córkę. Po policzkach dziewczynki popłynęły łzy.

Dnia 10 lutego 1940 roku o czwartej nad ranem do domu Maciurkowskich, domu mojej babci Eweliny w Lulówce na Wołyniu, wdarła się wojna. Jej szesnastoletni brat Michał i tata Bronisław stali pod ścianą. Jeden z czterech umundurowanych mężczyzn, wymachując im przed oczami odbezpieczoną bronią, krzyczał po rosyjsku do Bronisława:

– Gdzie u тебя pistolet? Pakażi! – i nie czekając na odpowiedź nakazał pozostałym przeszukać dom.

Bronisław był gajowym u hrabiny Ledóchowskiej, więc miał broń i do jego zadań należało strzec lasów przed klusownikami, złodziejami drewna i nielegalnym zbieractwem, co było najczęstszym przestępstwem

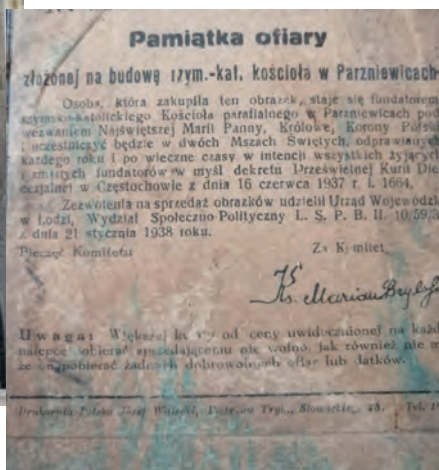
w przedwojennej Polsce. Szybko ją znalezione. Teraz enkawudzista zwrócił się do matki Eweliny, Franciszki:

– Ja wam daję sorok minut, wozmíte wsio, szto wam nužno...

Nikt z czworga rodziny nawet nie drgnął.

– Nu że, dawaj! – wrzasnął mundurowy.

Matka lekko pchnęła Ewelinę do izby obok. Ojciec i Michał ruszyli za nimi. Całe ciała mieli skostniałe z zimna, bo drzwi od domu były otwarte na oścież, a mróz był okropny. Szok i niedowierzanie sprawiło, że przez kilka minut nie wiedzieli, co mają robić, co zabrać, co im będzie potrzebne... W końcu zaczęli się pośpiesznie ubierać. Wszystko robili w ciszy. Ewelina przerażonym wzrokiem wodziła za matką, która próbowała opanować drżenie rąk i spakować „jakieś” rzeczy. Od czasu do czasu dziewczynka patrzyła na drzwi wejściowe, gdzie w każdej chwili mogli się pojawić enkawudziści krzycząc, by wychodzili. Matka na chwilę przerwała pakowanie, upadła na kolana i trzymając w obu rękach obrazek trochę większy od pocztówki, zaczęła bezgłośnie poruszać ustami. Potem przytuliła go do piersi, wzniosła do góry oczy i schowała za pazuchę. Ewelina nieraz widziała matkę modlącą się, nieraz miała też w rękach ten obrazek przedstawiający Matkę Boską z Dzieciątkiem, ale nigdy ten widok nie poruszył jej tak bardzo, jak w tamtej chwili. Ten obrazek mama Eweliny otrzymała dwa lata wcześniej od swojej ciotki Urszuli, która będąc w Parzniewicach postanowiła wesprzeć budowę tamtejszego kościoła pw. Najświętszej Marii Panny Królowej Korony Polskiej. Tej pamiętnej nocy 1940 roku mała Wela jeszcze nie wiedziała, jak ważną rolę w jej życiu odegra ten niewielki kawałek papieru.



Później wypadki potoczyły się bardzo szybko. Wypędzono całą rodzinę na dwór, zapakowano na wóz i zawieszono na stację, gdzie, podobnie jak setki innych ludzi, zapakowano do bydłych wagonów. Rozpoczęła się ich droga w nieznaną. Podróż, o ile można tak nazwać jazdę w nieludzkich warunkach, trwała kilka tygodni. Ścisk, smród i przenikliwe zimno panujące w środku były nie do zniesienia. Drewniane prycze bez sienników, twarde i niewygodne, ludzie zaścielali czym mogli, tym co mieli pod ręką. Za ubikację służyła dziura w podłodze. Ciała zmarłych w czasie jazdy wyrzucano na zewnątrz. Raz dziennie zatrzymywano pociąg i otwierano wagony. Przyznawano racje żywnościowe, którym był chleb: 40 dag dla dorosłego i 20 dag dla dziecka. Ewelina płakała bez ustanku z głodu, zimna, przerażenia. Matka tuląc ją, przemawiała spokojnym głosem:

– Nie płacz, Welu, nie płacz. Musimy być silni. Musimy przetrwać – po czym wyciągała obrazek Matki Boskiej i szeptem odmawiała modlitwę. – Bóg da, a przeżyjemy.

13 marca 1940 roku dotarli do Archangielska. Wyladowano ich z wagonów. Przywitała ich kolejna przerażająca rzeczywistość. Drewniane baraki w nich prycze, jakieś szafy, czasami łóżko, a przede wszystkim wszechobecne pluskwy, które nie dawały żyć. Te ohydne stworzenia znikaly, gdy rozpalano ogień i w baraku robiło się widno (nie było tam elektryczności). Pojawiały się z powrotem, gdy cała rodzina kładła się spać, kłując ich wtedy ze zdwojoną siłą, jakby mało było cierpień i bez nich. Maciurkowscy rozpakowali to, co mieli. Mama delikatnie wyciągnęła obrazek Matki Boskiej i oparła go o ścianę na jedynej półce w baraku.

– Miej nas w opiece Matuchno Przenajświętsza! Miej nas w opiece – powiedziała.

Na dzień chowała ten ich skarb pod deską w podłodze, bojąc się, że odbiorą go jej pilnujący ich Rosjanie. Wieczorem wracał na półkę i wszyscy wspólnie się przy nim modlili. Czasami Wela po cichutku, gdy była sama w domu, wyciągała spod deski Matuchnę, gładziła palcami jej cudowną twarz, patrzyła na Jezusa bezpiecznie siedzącego w objęciach Matki i prosiła o pomoc dla siebie i swojej rodziny.

Każdy dzień ich nowego życia na nieludzkiej ziemi był taki sam, pełen ciężkiej pracy, głodu, chorób i prawie wiecznego zimna. Ojciec i brat Eweliny pracowali w lesie. Tata, żeby było mu ciepło w nogi obwiązywał sobie buty workami i sznurkami, a następnie oblewał wodą. Woda zamarzała tworząc niezwykle izolację przed zimnem. Często się zdarzało, że nie wszyscy idący do lasu wracali. Grzęźli w wielkich zaspach i nikt ich już stamtąd nie wyciągał.

Pewnego razu latem idąc z rodzicami przez las Wela spostrzegła w rowie jakiś dziwny kamień. Wzięła kij i „nabiła” na niego to niecodzienne znalezisko, lecz ledwie to zrobiła, jej tata krzyknął:

– Córuś! Zostaw! To ludzka czaszka!

– Nie wiedziałam – odpowiedziała przestraszona Wela.

Skąd dziewczynka miała wiedzieć, jak wygląda ludzka czaszka, dla niej to była zwykła zabawka, zabawka, której tutaj przecież nie miała.

Latem rozpoczęła się też dla deportowanych dzieci obowiązkowa nauka w szkole. Uczono przede wszystkim rosyjskiego. Dla Eweliny nie był to całkiem obcy język, gdyż mieszkając w Lulówce słyszała język Ukraińców, bardzo przecież zbliżony do rosyjskiego. Lekcje rozpoczynała nauczycielka pytaniem:

– Jeść boh?

– Nie było i nie budiet – musiały odpowiadać chórem dzieci.

Za wszelką cenę i wszelkimi sposobami próbowano wyrzucić z serc Polaków wiarę i uczynić ich ateistami. Wela tylko bezgłośnie poruszała ustami, wierzyła, że Bóg jest i będzie. Wierzyła, że Matka Boska pomoże im w niedoli.

Po dwóch latach Maciurkowskich przewieziono do Kazachstanu, a raz z nimi ich najcenniejszy skarb – obrazek Matki Boskiej. Przestało, co prawda doskwierać przenikliwe zimno, ale zaczęła się ciężka praca w kolchozie. Zamiast baraków mieli lepianki, a zamiast pluskiew towarzyszyły im wszy. Mama zaczęła pracę jako sprzątaczką w szkole, lecz często zastępowała ją w tym Ewelina, bo matka, podobnie jak ojciec i brat, pracowała jeszcze w kolchozie. Suchy klimat nie sprzyjał uprawom i trzeba było nawadniać pola. Racje żywnościowe były niewielkie, a ludzie głodowali. Niejednokrotnie tata Weli w czasie żniw zakładał za duże buty i ryzykując własne życie, przemycał w nich ziarna zbóż, z których po zmieleniu w żarnach otrzymanych od Rosjan, mama robiła zacierki. Zdarzały się przypadki, choć nie w rodzinie Maciurkowskich, odkopywania zdechłych koni i zjadania ich po kawałku.

Ale przyszedł moment, że to nie głód i ciężka praca stały się dla rodziny Weli najgorsze. Michała zabrano na pole buraków oddalone od ich miejsca pobytu o 50 km. Upał był niemożliwy, brakowało wody pitnej, a te w rzekach były bardzo brudne. Michał napił się jednak wody z rzeki i zachorował na czerwonkę. Przywieźli go i wyrzucili pod domem. Ojciec akurat pojechał do miasta po sól. Ewelina z matką nie wiedziały, co począć, nie było leków, a o lekarzu można było pomarzyć. Wela nie odstępowała

brata na krok, na zmianę z matką siedziały przy nim i jedyne, co mogły zrobić, to zraszać mu głowę zimną wodą.

– Braciszku, braciszku. Wszystko będzie dobrze – Ewelina przemawiała do brata spokojnym głosem, trzymając go za rękę.

Przynosiła obrazek i wspólnie z matką zanosily żarliwe modlitwy do swojej Wspomożycielki. Brat zmarł po trzech dniach. Ojciec wrócił i gdy się dowiedział o śmierci syna, zaczął strasznie rozpacząć:

– Chodźmy nad rzekę, to się potopimy! – krzyczał – Chodźmy!

Samobójstwo! To straszne, co ojciec proponował, ale wtedy wydawało mu się, że to jedyne rozwiązanie, że już więcej nie dadzą rady udźwignąć. Tylko dzięki Ewelinie i jej matce oraz, w co mocno Wela wierzyła, pomocy Matki Boskiej z obrazka, udało się odwieść ojca od tego zamiaru. Udało im się przetrwać ten bardzo trudny czas.

Mijały dni, miesiące lata, zmieniały się pory roku i nadszedł długo oczekiwany dzień.

– Suszyć suchary! Suszyć suchary! – tata wołał od progu.

Wiedzieli, że będą mogli wrócić. Znow w bydłowych wagonach, znow głodując przez sześć tygodni – wracali jednak do siebie. I jak w 1940 r. jadąc na wschód mieli niewiele, tak i teraz niewiele zabrali. Obrazek też wracał z nimi. Kiedy dotarli na miejsce ojciec zdecydował, że nie wysiadają, bo nie wiadomo, co zostało z ich starego domu. Wtedy jeszcze nie wiedzieli o rzezi, nie wiedzieli, że ich rodzinę wymordowali. Ojciec postanowił, że jadą do końca. Dotarli do Poznania. Po trzydniowym postoju wyruszyli dalej na zachód. Trafili do Nowogardu, ojciec chciał zostać w mieście, ale matka Eweliny uparła się na wieś, więc osiedlili się w małej wsi Długoleka 5 km od Nowogardu. Rozpoczęli całkiem nowe życie, najpierw u gospodarza, później dostali dom i kawałek ziemi. Obrazek został oprawiony w ramki i zawisł na ścianie najpierw w pokoju rodziców, a później w pokoju Eweliny i jej męża Jana Pietruczyka.



Do dziś obrazek jest nierozłącznym elementem życia naszej rodziny, a ilekroć wchodzę do pokoju babci, widzę spoglądającą z obrazka Matkę Boską i jej oczy, które mówią; „Ja z nimi wtedy byłam, płakałam, gdy cierpiei i cieszyłam się z ich powrotu. Będę z wami, byście nigdy nie zapomnieli?”.

Nie zapomnimy... Ja nie zapomnę...

Zuzanna Sumara

Liceum Ogólnokształcącego w Zespole Szkół im. Pamięci Ofiar Terroryzmu
11 Września 2001 Roku w Kaliszu Pomorskim

Niezwykła historia perskiego kilimu

Wstęp

Mam na imię Zuzanna, jestem licealistką z Kalisza Pomorskiego. Mieszkam w Reczu w powiecie choszczeńskim. Moje rodzinne korzenie związane są z majątkiem Mojówka, znajdującym się w obwodzie winnickim na Ukrainie. To tam w zaborze rosyjskim mieszkali moi prapradziadkowie – Aniela i Tadeusz Saryusz-Zalescy. W mojej pracy chciałabym przedstawić historię, losy i okoliczności historyczne związane z jedną z najciekawszych pamiątek naszej rodziny – kilimem, modlitewnym dywanem perskim. Historia kilimu jest ściśle związana z dziejami mojej rodziny, której ten niecodzienny w naszej kulturze przedmiot towarzyszy już od ponad stu lat.

Kilim, którego historię opisuję, pochodzi z dawnej Persji (dzisiejszego Iranu). Ma wymiary 2,2 x 1,5 metra. Został wykonany ręcznie, prawdopodobnie na przełomie XVIII i XIX wieku. Tego rodzaju kilim używany jest przez wyznawców islamu do przykrycia miejsca modlitwy w celu uzyskania jego rytualnej czystości. Takie dywany tworzy się z ciężkiej tkaniny. Pierwsze dywaniki modlitewne weszły do użytku w XVI wieku. Sztuka tkania kilimów perskich jest uznana za narodowe dziedzictwo kulturowe Iranu.



Jak dywan dotarł do Mojówki?

Aniela i Tadeusz Saryusz Zalescy zamieszkiwali i zarządzali rezydencją zwaną Mojówką, położoną w obwodzie winnickim w zaborze rosyjskim. Znajduje się ona obecnie na terenie Ukrainy.

Tak opisuje ten majątek w swojej książce siostra mojej prababci, Anna Saryusz-Zaleska, autorka wspomnień pt. „Niezapomniana Ukraina” – wnuczka posiadaczy, moja prababcia:



Anna Saryusz-Zaleska

Jak na Podole przystało, Mojówka była malowniczo położona, ale nie bez żalu muszę wyznać, że jej centrum zaczynające się zaraz za groblą, nie porwało by zaiste żadnego Krasieńskiego swoją urodą. Wznosiły się tam zabudowania cukrowni z białymi zbiornikami i wysokim kominem. Dalej – na prawo – jeden jedyny miejscowy sklepik i dwa piętrowe domy mieszkalne dla oficjalistów. Wszystko z czerwonej cegły.

Co tu kryć? Mojówka była osadą fabryczną, która wyrosła przy cukrowni gdzieś w drugiej połowie dziewiętnastego wieku. Darmo szukać jej dziejów w słowniku geograficzno-historycznym tych ziem. Ale poza nieznaczną wyspą szpetoty przemysłowo-handlowej Mojówka maluje się w mojej pamięci niebiesko białymi chatami rozrzuconymi po jednej stronie stawu. A po drugiej – okazałym pałacem Mańkowskich wieńczącym romantyczny, olbrzymi park.



Rodzina Saryusz-Zaleskich przy stole w ogrodzie w Mojówce



Saryusz-Zalescy około 1925 roku. Od lewej stoją: Florian (Januś), Władysław (w mundurze), Tekla (Lusia) i Tadeusz; siedzą: Maria, Aniela (matka), Cesia, Tadeusz (ojciec) i Anna (autorka)

Nauczycielem Anieli Saryusz-Zaleskiej i jej rodzeństwa, zatrudnionym przez jej rodziców Teklę i Władysława Lipkowskich był przybyły z Paryża Stanisław Nowicki. Syn emigranta, powstańca z 1831 roku. Pan Nowicki lubił podróże i hazard. Podczas jednej z wakacyjnych wypraw trafił do Persji. Jednak nie wrócił stamtąd we wrześniu. Okazało się, że przegrał wszystko

w karty w Teheranie. Właściciel lokalu uwięził go. Jak wspomina Anna Saryusz Zaleska: *Stał rozpaczliwie listy do Robów błagając o ratunek. „Przekazać pieniądze, pomyślał dziadziunio, to je zaraz preceptor przegra. Trzeba inaczej”. Wysłał więc do Persji zaufanego Kozaka Trochima z odpowiednim funduszem na wykup nieszczęśnika. Oprócz tego polecił słudze, aby nabył kilka dywanów i kilimów perskich. Dotarły one do Robów, a jeden z nich dostał się matce razem z wyprawą. Całe lata kilim-modlitewnik towarzyszył rodzinie Zaleskich podczas rewolucji 1917 roku, a od 1920 w Polsce.*

Następnie kilim otrzymała w posagu córka mojej praprababci Tekli, prababcia Aniela Saryusz-Zaleska z domu Lipkowska. I tak kilim trafił do Mojówki i rodziny Zaleskich.

Ucieczka przed rewolucją

Pierwsza „podróż” kilimu po przywiezieniu z Persji nastąpiła jesienią roku 1917, kiedy w Rosji wybuchła rewolucja październikowa. Sytuacja w państwie pogarszała się z dnia na dzień. Pomimo lojalnej służby, która była w stanie obronić majątek i rodzinę Zaleskich, to zagrożenie ze strony bolszewików było zbyt duże. Opuszczenie Mojówki było dla wszystkich bardzo trudne, a dzień przed wyjazdem z majątku został przez prababcie nazwany „końcem świata”. Mieszkańcy majątku karetami wyruszyli do stacji kolejowej w Wapniarkach, podróż przysporzyła im paru trudności, ponieważ kareta ślizgała się po glinie i konie z trudem utrzymywały ją na pochyłości. W czasie podróży w perskim dywanie najprawdopodobniej znalazły się między innymi ubrania. Po dotarciu na miejsce, schronienia udzieliła im obca kobieta, Pani Malinowska, właścicielka apteki. Dała im do dyspozycji obszerny ogrzany pokój wysłany słomą, otrzymali też ciepłą wodę oraz herbatę. Potem pociągami dojechali do Humania, były to rodzinne strony babci Tekli – mamy Anieli Zaleskiej. Tym razem znaleźli się w dużym mieszkaniu parterowym na ul. Dworcowej u siostry Anieli, Zofii Narbutt, mieszkającej ze swoim mężem Zygmuntem oraz trójką dzieci.

Wczesną wiosną miasto zostaje opanowane przez Niemców. Następnie w marcu 1919 roku również bolszewicy dotarli do Humania, doszło do aresztowania Zygmunta Narbutta. Pobyt w Humanii obejmował lata od 1917 do 1919. Pod koniec 1919 roku mieszkańcy dowiedzieli się o napierającej z północy i ze wschodu Armii Czerwonej. W trosce o swoje życie, rodzina zaczęła opracowywać plan podróży do Polski – postanowili kupić cztery wagony kolejowe, wyremontować je i dojechać nimi do polskiej granicy. Warunkiem otrzymania dokumentów zezwalających na wyjazd

do Polski było zrzeczenie się wszystkich nieruchomości na terenie Ukrainy. Wyjazd nastąpił w wigilię Bożego Narodzenia, jak można się domyślić, chłód w wagonach był srogi, autorka „Niezapomnianej Ukrainy” – Anna Zaleska wspomina o podmrażanych palcach u rąk i stóp, które dokuczaly jej później latami. Nareszcie w dzień Nowego Roku (1 stycznia 1920 roku) dotarli do Płoskirowa, miasta na granicy. Nastąpiła chwila ulgi i radości po tym, jak do osady nadjechało polskie wojsko – *Było nam pisane ocalenie*. Te dramatyczne losy „dzielił” z rodziną Zaleskich perski dywan modlitewny i tak znalazł się w Polsce.

W II Rzeczypospolitej i w czasie wojny

Zalescy w 1920 roku trafili do Krakowa, czyli tam gdzie mieszkały siostry Tadeusza. Po około roku pobytu w Krakowie, Tadeusz, Aniela, wraz z siostrami i dziećmi przeprowadzili się do Warszawy. Pierwsze mieszkanie w jakim osiedli znajdowało się na ulicy Koszykowej. W tym czasie kilim znajdował się w tym mieszkaniu. Anna Zaleska we wspomnieniach opisuje dalsze losy kilimu:

W 1939 roku pers wyniesiono z płonącego mieszkania rodziców. Zdobi później ścianę na Mokotowskiej 58, gdzie pogorzelnicy znaleźli schronienie, ale rodzina prowadzi wszelkie możliwe rodzaje działalności konspiracyjnej. Trzy razy gestapo przeprowadza rewizję. Następują aresztowania mojej matki, siostry Cesi i sublokatorów. Czeka na nich wszystkich Pawiak. Kilim wraz z pamiątkowym obrazem Matki Boskiej zostaje przeniesiony do mojego mieszkania na Białobrzęskiej 39, uważanego za bezpieczniejsze. Ale ja pracuję w tajnym szkolnictwie i przechowuje „nie-Aryczyka”, mecenasa Aleksandra Szenwalda-Łaszynskiego. W 1944 roku rodzina decyduje, że pamiątki rodzinne powinny wrócić na Mokotowską. Cesia ze swoim narzeczonym [Henrykiem Sumarą] wybierają się po nie 1 sierpnia i tam zostaje ich powstanie. Wychodząc na ulicę, Cesia zabiera kilim zamiast koca, a jako tarczę przeciw niebezpieczeństwom rodzinną ikonę: obraz Matki Boskiej Częstochowskiej [...].



Zdjęcie z czasów okupacji, z 1944 r. Henryk Sumara z siostrą Heleną Sumara i Cecylią Zaleską

Razem z młodymi ocalały i obie pamiątki. Dziś zdobią mieszkanie córki Cesi i Jerzego, mojej ukochanej siostrzenicy Ani Bernwertz.

Po powstaniu, Cecylia trafiła do obozu w Pruszkowie, a w kilimie zabrała najcenniejsze rzeczy. Po wyzwoleniu, wyjechała z mężem do Krakowa do matki Henryka, zostaje tam mniej więcej do 1946 roku, kiedy wyprowadzają się do Gdyni, w czym pomaga im przyjaciel Cecylii, Kazimierz Leski.

Chciałabym opowiedzieć również o dwóch bardzo ważnych dla mnie postaciach, o Cecylii i Henryku Sumarach. Cecylia w trakcie wojny miała około 20 lat, zarówno ona, jak i Henryk, służyli w AK. Cesia (Cecylia) przed wojną ukończyła studia pielęgniarstwa, w wojsku pełniła funkcję łączniczki, była czynna jako pielęgniarka w czasie okupacji. Działała pod pseudonimem „Tancerka”. Natomiast Henryk, pseudonim „Devil”, ukończył Korpus Kadetów we Lwowie, następnie uczęszczał do Toruńskiej Szkoły Artylerii. W 1939 roku brał udział w obronie Warszawy jako artylerzysta. Później uczestniczył w akcji, w której strzelał z dachów z pelotki do samolotów niemieckich, wtedy został zraniony w nogę. Opiekę nad nim przejęła Cecylia Saryusz-Zaleska. Tak przedstawia się historia poznania moich pradziadków, kolejnych posiadaczy perskiego kilimu.

Kazimierz Leski we wspomnieniach „Życie niewłaściwie urozmaicone” tak przedstawia Anielę Lipkowską i jej córki, czyli m.in. moją prababcie Cecylię:

Takie sytuacje zdarzały się szczególnie w początkach konspiracji, gdy moje rezerwowe „życia” nie były jeszcze rozwinięte we właściwy sposób. Wtedy zmieniłem wygląd i przez pewien okres często również miejsce pobytu. W tych przypadkach korzystałem z dobrej woli wielu osób, które mnie przechowywały po parę dni. Pamiętam na przykład rodzinę pań Zaleskich (mama + cztery córki) mieszkających przy ulicy Mokotowskiej 58, które w swoim mieszkaniu przechowywały wielu żołnierzy i działaczy niepodległościowych (między innymi ocalałego z masakry w Warszawie Jana Warnke „Wilka”), radiostację nadawczą itp.; dzieje tej rodziny i jej mieszkania stanowią odrębną sagę.



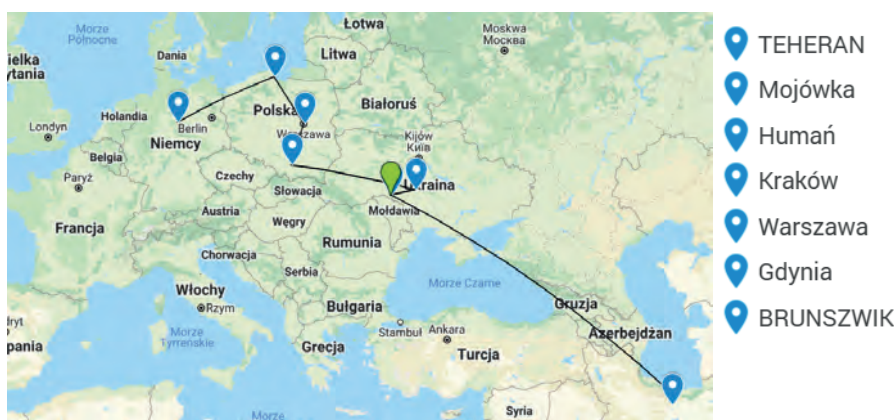
Moja prababcia Cecylia Zaleska „Celotka”, Jan Warnke „Wilk” ocalali z masakry w Wawrze, Tekla Zaleska „Lusia”

Trójmiasto i ucieczka do Niemiec

Małżeństwo Sumarów opuściło Warszawę w 1945 lub 1946 roku. Jako żołnierze walczący wcześniej w AK byli zmuszeni do zmiany nazwiska na „Wilczek” i wyjazdu do Gdyni. W tym czasie perski kilim już znajdował się od dłuższego czasu w Trójmieście, ponieważ siostry Cecylii wraz z ich

matką wyjechały tam chwilę po wojnie i zabrały go ze sobą. W 1948 na świat przychodzi mój dziadek – Andrzej Sumara. Po śmierci Cecylii i Henryka, około 1982 roku, kilim trafia do domu ich córki w Sopocie, Anieli Berwertz, tak jak pisze siostra Cesi w swojej książce. Aniela przekazuje go rodzinie Andrzeja, a oni zabierają go ze sobą podczas ucieczki z kraju, którą opisałam w następnych słowach. Dywan wisiał m.in. w Lüneburgu, jak wspomina Michał Sumara, brat mojego taty. Następnie mówi on o tym, że zabrał kilim do swojego mieszkania w Brunshwiku, pomiędzy 1998 a 2000 rokiem. Dywan znajduje się w domu mojego wujka do dnia dzisiejszego.

Niestety, w tamtych czasach, przy różnych trudnych okolicznościach, pamiątki schodziły na drugi plan, a pamięć potrafi zawodzić. Następuje rozbieżność między wspomnieniami z książki ciotki Ani a opowieściami mojego dziadka Andrzeja i wujka Michała. Wersja, o której opowiedział mi mój dziadek, mówi o tym, że dywan został przekazany jemu po śmierci jego rodziców. Kilim znajdował się wtedy w Orłowie. Rodzinę spotykają kolejne dramatyczne wydarzenia. W latach 80. XX wieku są zmuszeni do emigracji. Powodem opuszczenia ojczyzny jest zagrożenie dziadka represjami ze strony władz komunistycznych. Zabrali ze sobą jedynie samochód campingowy i najważniejsze rzeczy. Dywan perski został w mieszkaniu i dopiero wtedy przejęła go Aniela Berwertz, która chciała zapewnić ciągłość przekazywania ważnych pamiątek rodzinnych i dlatego około 2000 roku dała kilim mojemu wujkowi Michałowi, który zabrał go do swojego mieszkania w Brunshwiku. Wisi tam do dnia dzisiejszego.



Droga kilimu na przestrzeni ponad 100 lat

Zakończenie

Pomimo, że perski kilim nie przedstawiał dla moich przodków wielkiej wartości, jest obecnie bardzo ważną pamiątką, która stała się dla mnie pretekstem do poszerzania wiedzy o mojej rodzinie. Ten niezwykle przedmiot towarzyszy nam przez ponad wiek. Znajdował się w posiadaniu wielu członków naszej rodziny, w tym wielu wyjątkowych osób, patriotów zasłużonych dla Polski. Kilim przebył naprawdę długą drogę poczynając od dawnej Persji, przez Kresy, Polskę, aż po centrum Niemiec. Mam nadzieję, że jego historia zaciekawi czytelników i zmotywuje ich, tak jak mnie, do sięgnięcia i odkrywania rodzinnych historii.

Informacje zawarte w mojej pracy zdobyłam przede wszystkim ze wspomnień autorstwa Anny Saryusz-Zaleskiej pt. „Niezapomniana Ukraina”, wydanej w Warszawie, w 2007 roku przez wydawnictwo Rosner&Wspólnicy. Skorzystałam także z fragmentu książki Kazimierza Leskiego pt. „Życie niewłaściwie urozmaicone”, wydanej w Gdańsku, w 2009 roku przez Oficynę Wydawniczą Finna. Bardzo wiele ciekawych wiadomości o historii kilimu i rodziny przekazał mi mój dziadek Andrzej Sumara, który szczególnie zapoznał mnie z historią jego przodków. Resztę pozyskanej wiedzy zawdzięczam mojemu wujkowi Michałowi Sumara oraz mojemu tacie Maciejowi, który podsunął mi pomysł opisanie kilimu z Persji.



Maksymilian Ozga

Szkoła Podstawowa nr 56 im. kpt. ż.w. Konstantego Maciejewicza w Szczecinie

Porcelanowy ptak

Gotowanie zawsze było pasją mojego taty. Przed laty postanowił on zostać kucharzem. Pracę znalazł na statku, przewożącym kierowców ciężarówek. Przez dwa tygodnie w miesiącu gotuje on na promie kursującym do Szwecji, dokładniej do Trelleborga.

Zawsze, gdy wracałem ze szkoły i odpoczywałem w salonie, na komodzie stała pewna rodzinna pamiątka. Z opowieści taty wynikało, że jest to dla niego bardzo ważna rzecz, z długą historią i wartością sentymentalną, przekazywana od wielu pokoleń. Jednakże to, co zwróciło moją szczególną uwagę to był fakt, że za każdym razem, gdy tato wyjeżdżał, pamiątka także znikala.

Ten wyjątkowy przedmiot to porcelanowy ptak, siedzący na niewielkim postumencie pokrytym ciemnozielonymi listkami. Od spodu tułów ptaka jest koloru purpurowego, a kończy jasnym odcieniem brązowego. Skierowane w dół, zwinięte skrzydła ptaszyny mają ciemny odcień niebieskiego, takie są również jego plecy. Na skrzydłach widoczne są także białe końcówki piór. Dziób oraz okolice czarnych galek ocznych mają złotą barwę i pokryte są białymi plamkami. Ma on małą, granatową główkę oraz długi, wyprostowany ogon o kolorze jasnobrażowym. Cokolik, na którym siedzi ów ptak ma kilka wklęsłości oraz ciemnozielonych plam. Wszystkie barwy pamiątki są pastelowe i nieco wyblakłe. Stylistyka oraz wykonanie ptaka są starodawne oraz widoczne są dawne metody zdobienia. Patrząc na figurkę widać, że ma ona długą historię, lecz pomimo tego jest w świetnym stanie.

Mój dziadek Michał od wczesnego dzieciństwa marzył o pracy na statku. Po wielu szkoleniach i zdanej z wyróżnieniem szkole wyższej został on zatrudniony jako mechanik na promie. Jednak dawniej rejsy trwały wiele tygodni, a nawet miesięcy. W latach 70. XX wieku młody Michał wyruszał na pierwszą wyprawę na morzu.

Pamiętam, jak tata opowiadał mi o pradziadkach, którzy obdarowali w porcie swojego syna porcelanowym ptakiem. Chcieli oni, aby pamiętał o nich w chwilach tęsknoty za domem, rodziną oraz podczas wstrząsów i sztormów. Ptaszyna symbolizować miała wolność, entuzjizm, otwartość na nowe przygody i doznania oraz miała przypominać o możliwości

powrotu z egzotycznych, ekscytujących podróży do bezpiecznego, ciepłego domu. Dziadek po otrzymaniu podarunku zrozumiał jego wartość i ogromną symbolikę. Postanowił dbać o pamiątkę, zabierać ją na każdą wyprawę, a w przyszłości przekazać ją potomkowi gotowemu na opuszczenie gniazda.

Po pożegnaniu rodziców Michał z energią i optymizmem wbiegł na mostek statku, aby z góry zobaczyć swój nowy, pływający dom, gdzie zacznie się jego drugie życie. Opowieści taty od kiedy pamiętam mnie intrygowały i gdy tylko mówił o swoich podróżach i miejscach jakie zwiedził, od razu widać było moje zafascynowanie i błysk w oczach. Postanowił on więc zabrać mnie i mojego brata Mikołaja w rejs, aby pokazać nam swoją pracę, realia życia na statku oraz piękny Trelleborg. Gdy usłyszałem o jego propozycji spędzenia dwóch tygodni na okręcie i zwiedzania nowego kraju, z entuzjazmem się zgodziłem. Cieszyłem się, że tato nie widział już we mnie małego chłopca, tylko gotowego na nowe doznania i przygody mężczyznę. Była to dla mnie jak również dla niego ważna chwila wzmacniająca więzi między nami.

Już kilka dni przed wyjazdem ciągle odliczałem z ekscytacją godziny wyruszenia ze Szczecina do portu w Świnoujściu. Gdy we trójkę pakowaliśmy już bagaże, zauważyłem, jak tato sięgnął po porcelanowego ptaka z szuflady i włożył go do granatowego, zdobionego złotymi wzorkami ze srebrnym zamknięciem pudeleczka. Spojrzał na mnie i powiedział: – Będzie on nam towarzyszył, tobie w przyszłości także.

W końcu dotarliśmy do portu. To była ta chwila, na którą tak długo czekałem. Gdy ujrzałem te wszystkie ogromne statki, łódki, dźwigi i kontenery oraz szykujących się do podróży marynarzy, wstrzymałem dech w piersiach. Okręt, którym mieliśmy płynąć przez Bałtyk przerósł moje wszelkie oczekiwania i był o wiele większy niż sobie wyobrażałem podczas opowieści, które snuł mój tato. Po wejściu na pokład zostaliśmy przywitani przez kapitana, który – jak sam mówił – dawno nie widział na swoim statku „małych majtków”.

Przeplnięcie morza trwało krócej niż myślałem. Po kilku godzinach byliśmy już na drugim wybrzeżu. Tato zaczynał zmianę następnego dnia, więc mogliśmy wyjść na brzeg, aby zwiedzić słynne miasto Trelleborg.

Zbieraliśmy się już do wyjścia na ląd i zwiedzania pobliskich atrakcji. Z zachowania mojego brata Mikołaja łatwo można było wywnioskować, że nie podobało mu się płynięcie ogromnym statkiem z towarzyszącymi wstrząsami i chwiejącymi się przedmiotami. Tato pakując mapę, telefon oraz klucze, sięgnął także do szafeczki przy łóżku po zdobione, granatowe pudeleczko. Po czym wyszliśmy na brzeg.

Na początku spacerowaliśmy między głównymi uliczkami miasta. Znajdowały tam się szeregi budynków – każdy miał swój odmienny, charakterystyczny kolor. Pomiędzy szeregowcami znajdowały się restauracje, bary, sklepy z pamiątkami i miejscowe sklepiki.

Na ulicach gromadziło się wiele osób. Jednakże chodzili oni spokojnym, powolnym krokiem z uśmiechem na twarzy i promieniujący optymizmem. Gdy przeszliśmy przez gromadki miejscowych i turystów, znaleźliśmy wielki, liściasty park z zadbanymi drózkami. Z początku wydawało się, że był to zwykły skwer, taki jak każdy w Polsce. Jednak po przejściu kilku uliczek zastaliśmy pawia. Był to dla mnie zadziwiający widok. Pierwszy raz widziałem tak niezwyklego ptaka przechadzającego się na wolności w środku dużego miasta. Im dalej spacerowaliśmy, tym więcej zwierząt spotykaliśmy. W sadzawkach pływały kaczki i gęsi, pomiędzy koronami drzew latały wróble, na kwiatkach siedziały pszczoły i zbierały nektar. Wokół lilii wodnych żaby łapały owady, a kury i przepiórki kroczyły wśród traw i krzewów. Idąc przez most nad jednym z parkowych stawów, minął nas lis, kierujący się do swej norki. Był to dla mnie wspaniały widok i byłem pod wrażeniem, że zwierzęta te nie bały się przechodniów i natura żyła w zgodzie z dbającymi o nią ludźmi.

Po kilkugodzinnym spacerze i zwiedzaniu miejskich atrakcji takich jak Trelleborgs Museum, Lilla Beddinge Teater czy stara wieża ciśnień na rynku Stortorget, postanowiliśmy wrócić na statek, aby odpocząć i zjeść coś ciepłego. Tato, gdy tylko weszliśmy do kabiny, wyciągnął porcelanowego ptaka i położył go na zabezpieczonej półeczce.

Podczas spaceru tato robił nam zdjęcia przy budowlach swoim aparatem, a my trzymaliśmy szkatułkę wraz z ptakiem. Chciał on, abyśmy podróże i poznawanie nowych miejsc kojarzyli z tym właśnie przedmiotem, tak jak on i dziadek to robili podczas swoich podróży.

Po krótkiej rozmowie wyszliśmy z kajuty, aby udać się do kuchni i zjeść porządny obiad. Pod niewagę taty spakowałem do swojego plecaczka szklanego ptaka i zamknąłem go w plastikowej śniadaniówce. Chciałem, aby pamiątka towarzyszyła mi podczas posiłku, a jako mały chłopiec nie zdawałem sobie sprawy z jej wartości.

Gdy weszliśmy do kuchni, czyli miejsca pracy taty, gdzie powstawały jego pyszne dania, ujrzałem pełne życia miejsce wraz z radosnymi kucharzami, gotującymi zupy, parzącymi kawy, podającymi z gracją gotowe jedzenie. Było to wielkie pomieszczenie przepelnione nowoczesnymi sprzętami, naczyniami wraz z dużą chłodnią, łączącą się ze stolówką dla kierowców.

Tato upichcił nam na szybko jego makaronowy specjal, ponieważ chciał nam jeszcze przedstawić załogę i pokazać resztę statku. Postanowił zabrać nas na mostek do samego kapitana i oficera okrętu. Byli to bardzo dobrzy znajomi, w końcu pracowali razem ponad 15 lat.

Opowiedzieli nam o swojej pracy, obowiązkach, grafiku wacht, a nawet pozwolili siedzieć w ich fotelach i przez lornetki patrzeć na horyzont Bałtyku. Na koniec oglądaliśmy radar, przedstawiający powierzchnię dookoła statku, inne jednostki czy łąd. Byli oni wobec siebie i nas bardzo sympatyczni i uprzejmi, a gdy już się żegnaliśmy, podarowali nam przypinki z nadrukiem firmowym promu.

Wracając już do kabiny, zyskałem kolejne, nowe doświadczenie. Sytuacja, która się wydarzyła, z początku mnie i brata zachwyciła, lecz później przeraziła i zestresowała. Bowiem, aby prędzej dostać się na nasz poziom, tato zabrał nas na przejazd windą. Jednak nie była to zwykła winda, ponieważ jej wielkość okazała się zaskakująco mała. Jej rozmiar był odpowiedni dla jednej, maksymalnie dwóch osób. Tato prawdopodobnie sądził, że jeśli jesteśmy mniejsi, możemy się przejechać we trójkę.

Winda już z początku dość wolno jechała, lecz chwilę później – prawdopodobnie z powodu przeciążenia, zatrzymała się. Mój brat, choć starszy, bardzo się przestraszył, a tato próbował go uspokoić.

Przypadkowo zostałem popchnięty i plecakiem uderzyłem w ścianę windy, a ze środka wydostał się niepokojący dźwięk pękającego plastiku. Wtedy przypomniało mi się, co trzymałem w śniadaniówce. Była to rodzinna pamiątka – porcelanowy ptak. Tato klikając w guzik z alarmem windy, spytał co to za dźwięk. Pomimo stresu, powiedziałem tacie co się wydarzyło.

Widziałem jego zdziwienie i niepokój w oczach, nie byłem jednak w stanie sprawdzić, czy z ptakiem było wszystko w porządku. Gdy tylko przybyła pomoc i udało nam się wydostać, natychmiast drżącymi rękoma sięgnąłem po plecak i wyciągnąłem pudełko śniadaniowe. Poczulem ogromną ulgę, gdy okazało się, że przedmiot, który wydał ów dźwięk to była śniadaniówka, która pękła. Pamiątka była cała, dzięki swojej szkatulce, a my niepotrzebnie się zdenerwowaliśmy.

Podczas okresu II RP sytuacja materialna Polaków była na niskim poziomie. Jednakże osobom, którym udawało się poczuć dobrobyt i dostęp do wszelkich produktów z Zachodu byli m.in. marynarze. Mój dziadek Michał jako mechanik na statku podróżował po wielu kontynentach. Jak większość pracowników ogromnych promów sprowadzał z za granicy wiele sprzętów, żywności czy ubrań. Dziadkowi podczas poznawania świata

towarzyszyła zawsze pamiątka, przypominająca mu jego dom, rodzinę i ojczyznę. Dziadek był zawsze bardzo odważnym, mężnym i pragnącym ciąglego poznawania świata mężczyzną. Z jego opowieści i powiedzeń wynikało, że doceniał on wszystkie dobra i szanse jakie zyskał dzięki podróżom i pracy na okręcie. Widać, że nie bał się nowych wyzwań oraz bez wahania stawiał czoła problemom.

Gdy tylko go odwiedzałem, tłumaczył mi, jak ważnym aspektem w życiu człowieka jest nadzieja, pamięć o bliskich i miłość. W trudnych chwilach, na chwiejącym się od wielkich, groźnych fal statku, myślał on o rodzinie i ważnych dla niego miejscach, a nadzieję dawała mu ta mała pamiątka o ogromnej wartości sentymentalnej.

Tato od początku naszego wyjazdu obserwował moje podekscytowanie i ciekawość. Gdy zwiedzaliśmy mostek, kuchnię czy oglądaliśmy maszyny napędzające okręt, z ogromnym zainteresowaniem słuchałem pracowników floty. Pomimo mojego nierozsądku i narażenia tak ważnej dla rodziny pamiątki, widział on we mnie potencjał i przyszłego podróżnika. Gdy razem z Mikołajem oglądaliśmy film, tato zatrzymał odtwarzanie i podszedł do mnie. Zapytał:

– Widzę, że podoba ci się życie na morzu, racja?

– Oczywiście! – wykrzyknąłem. – Chciałbym kiedyś jak ty i dziadek jeździć po całym świecie i poznawać nowych ludzi i miejsca.

– Miło to słyszeć – odpowiedział. – Myślę, że ucieszysz się na wiadomość jaką mam ci do przekazania.

– O co chodzi, tato? – zapytałem.

– Rozmawiałem niedawno z dziadkiem przez telefon. Opowiedziałem mu o twojej ekscytacji i ciekawości oraz jak bardzo spodobała ci się codzienność na okręcie – odparł. – Razem z dziadkiem sądzimy, że to właśnie ty będziesz kolejnym potomkiem przejmującym opiekę nad naszą rodzinną pamiątką.

– Naprawdę?! – zapytałem ze zdziwieniem.

– Tak, synu. Proszę, tutaj leży zdobiona szkatulka, a to dziennik – odpowiedział podając mi ów przedmiot.

– Co to za dziennik, tato? – zapytałem rozkojarzony.

– Gdy pradziadkowie podarowali dziadkowi Michałowi porcelanowego ptaka, dali mu także ten oto dzienniczek – odparł. – Dziadek postanowił, że zapisze w nim swoje wrażenia i przemyślenia, a lata później przekaze go wraz z ptakiem przyszłym pokoleniom.

– Jestem bardzo zaskoczony – odpowiedziałem. Nie spodziewałem

się, że zdecydujesz się przekazać mi tak wartościowy przedmiot. Masz rację, bardzo zainteresowały mnie podróże, mechanizm statku i życie na wodzie. Obiecuję, że będę naszą rodzinną tradycję kontynuował i zwiedzał świat wraz z pamiątką.

– Dziękuję – dodałem.

– Chyba już czas, abyś zapisał swoje myśli w dzienniku, które przeczytać będzie mogło twoje potomstwo – dodał na koniec tato.

Po naszej rozmowie sięgnąłem po długopis i zacząłem pisać.

Czwartek, 13.07.2017 r.

Przed chwilą otrzymałem od mojego taty rodzinną pamiątkę. Po przeczytaniu zapisków dziadka i taty sprzed lat, opowiem o moich przemyśleniach. Porcelanony ptak jest pięknie wykonaną figurką. Jego zdobienia i dokładność osoby wykonującej wzorki są fascynujące.

Od zawsze mówiono w moim domu o owym ptaku bardzo poważnie i z refleksją. Wiele opowieści, historyjek i wywodów pozwoliło mi zwiualizować sobie jego przeszłość i zdarzenia z nim związane. Nie spodziewałem się jednak, że to ja dostanę ten przywilej i będę kolejnym posiadaczem pamiątki.

Gdy tylko weszliśmy na okręt, wyobrażałem sobie swoją przyszłość na podobnym. Mam w planach przygody, podróże i odwiedzenie wielu państw. Jestem wdzięczny mojemu tacie, że mi zaufał i przekazał tak ważną dla niego rzecz. Będzie mi ona przypominała o mojej pierwszej wizycie na ogromnym statku, o rodzinie i początku moich międzynarodowych wyjazdów. Chciałbym, aby następny właściciel porcelanowego ptaka – potomek naszej rodziny, pamiętał o jego wartości sentymentalnej, a zapewne za kilkanaście lat również materialnej, aby ptak był z nim w trudnych i szczęśliwych chwilach oraz aby dzięki pamiątce nigdy nie zapominał, gdzie jest dom i dokąd zmierza w swoim życiu.

Od mojej pierwszej przygody z morskimi realiami minęło już kilka lat. Po powrocie do Polski przez długi czas dążyłem do mojego wyznaczonego celu, czyli podróżowania po świecie.

Jako szkołę wyższą wybrałem Technikum Morskie w Szczecinie. Pod koniec pierwszego roku otrzymałem propozycję od nauczyciela organizującego wycieczki, aby zapisać się do fundacji i zostać wolontariuszem. Moim zadaniem byłaby pomoc w biedniejszych państwach, dotkniętych chorobami i ogólnokrajowym głodem. Bez zastanowienia się zgodziłem i dołączyłem do organizacji, ponieważ wiedziałem, że jest to dla mnie szansa, aby lepiej poznać inne kontynenty, nawet jeśli są one ubogie.

Pomimo ogromnej odległości od rodzinnego miasta czuję, że cały świat stoi dla mnie otworem i bez względu na to, gdzie się znajduję jest to mój drugi dom. Przypomina mi o tym pamiątka, porcelanowy ptak, który teraz wspólnie ze mną zwiedza i poznaje coraz to nowe zakątki Ziemi.



Piotr Niemcewicz

Szkoła Podstawowa nr 48 w Szczecinie

Dwa szlICE

Często się zdarza, że w czasie studiów studentom brakuje pieniędzy. W tamtych czasach, po I wojnie światowej, było podobnie. Ratunkiem na zdobycie środków do życia było sprzedanie części swojej odzieży. Powszechnie spotykani byli domokrażcy zajmujący się handlem. Kupowali i sprzedawali wszystko co tylko mogli.

Henryk leżał na łóżku i czytał podręcznik do anatomii, ucząc się łacińskich nazw układu trawiennego konia. Przez otwarte okno usłyszał kroki na podwórku i głośnie okrzyki:

– Sprzedaję! Kupuję! Tylko u mnie najlepsze okazje!

Poczuł, jak w brzuchu mu burczy, zastanawiał się tylko sekundę, podbiegł do okna i zawołał:

– Chodź pan pod czwórkę!

Szybko złożył na cztery części banknot 2 zł i wsunął go do kieszeni spodni wiszących na krześle. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi. Do środka wszedł nieogolony mężczyzna z workiem na plecach.

– Mam do sprzedania spodnie, prawie nowe, mało noszone – powiedział i pokazał palcem na krzesło. – Ile za nie dostanę?

Handlarz dokładnie obejrzał materiał, wyczuł włożony banknot i zaproponował cenę 2 zł. Krótko się targowali i ostatecznie stanęło na cenie 3,50 zł.

Gdy mężczyzna przewiesił spodnie przez ramię i zbierał się do wyjścia, Henryk chwycił spodnie w ręce.

– Tylko sprawdzę, czy nic w nich nie zostawiłem – powiedział wyciągając banknot z kieszeni.

Handlarz, aż poczerwieniał ze złości. Zawsze dokładnie oglądał oferowaną mu odzież i gdy wyczuł banknot, ukradkiem sprawdził jego wartość. Ustalona cena dawała mu zysk, ale z banknotem był jeszcze większy, więc zażądał unieważnienia transakcji. Zrobiła się awantura na całą kamienicę. Handlarz zarzucał oszustwo, ryczał, że teraz jego dzieci umrą z głodu i tym podobne. Po dłuższej chwili wypełnionej wymachiwaniem rękami, rozeszli się w spokoju, bo każdy wiedział, że i tak zrobił dobry interes.

Takie to były czasy...

Heniek

Nazywał się Henryk Jaskulski. Miał zawsze tysiące pomysłów i był duszą towarzystwa. Często uśmiechnięty, uwielbiał żartować.

Prapradziadek urodził się we Lwowie w 1902 roku. To piękne, duże miasto było stolicą Galicji i znajdowało się wówczas, od pierwszego rozbioru Polski, w zaborze austriackim. Będąc nastolatkiem, walczył w oddziałach „Orląt Lwowskich”. Te przeżycia sprawiły, że chciał zostać żołnierzem. Wielu jego kolegów poległo, walcząc o polski Lwów w latach 1918–1920. Pożegnał się z nimi pod koniec swojego długiego życia, odwiedzając ich groby na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

Po wojnie bolszewickiej ukończył studia weterynaryjne we Lwowie i został przyjęty do polskiej armii jako oficer, lekarz weterynarii, tak potrzebny w naszym wojsku okresu międzywojennego. Pierwszym garnizonem, w którym służył po wstąpieniu do wojska, był 10. Dywizjon Taborów w Radymnie, niewielkim mieście położonym na Podkarpaciu między Jarosławiem a Przemyślem. Służył w nim jako kapitan od 1933 roku do 1937 roku. Oddziały konne miały wówczas duże znaczenie, ponieważ dzięki nim wojsko było mało zależne od kiepskiej jakości dróg.

Przeniósł się stamtąd do 16 Pułku Ułanów Wielkopolskich w Bydgoszczy. O fantazji ułańskiej napisano bardzo wiele i zwykle była to prawda. Prapradziadek też nie odstawał od swoich kolegów. Do tego miał cierpliwość. Któregoś dnia przyprowadzono mu do uspienia piękną siwą klacz o imieniu Burza. Miała złamaną nogę i wiedziano, że jest minimalna szansa, żeby wróciła do zdrowia. W takim przypadku stosowane jest rozwiązanie ostateczne, kończące się śmiercią konia. Henryk nie dał za wygraną i postanowił ją uratować. Kiedy noga się zrosła, nikomu tego nie zdradzając, powoli przygotowywał ją do służby. Cierpliwie rehabilitował Burzę i trenował na tak zwanych „Polach Ułańskich”. Było to miejsce ćwiczeń ułanów, które aż do początku lat 60. XX wieku rozciągały się wzdłuż ulicy Szubińskiej w Bydgoszczy. Zajmowały kilkadziesiąt hektarów. Co roku na tych błoniach 16. Pułk organizował wyścigi konne. Było wielkie zdziwienie, gdy do wyścigu na Burzy zgłosił się również lekarz weterynarii. Nikt nie dawał mu szans, startowali świetni ułani. Oficerowie zakładali się, kto wygra zawody, ale nikt nie postawił na Burzę, z jednym wyjątkiem. Nic nie mówiąc żonie, Henryk założył się o całą swoją pensję. Ryzyko było bardzo duże. Burza we wspaniałym stylu wygrała wyścig. Dumny właściciel wrócił do domu i dopiero wtedy przyznał się do wszystkiego. Trochę wymówek musiał wysłuchać...

Na tym koniu wyruszył na wojnę i ze swoim pułkiem przeszedł szlak bojowy podczas walk obronnych w 1939 roku. Razem z grupą niedobitków 4 września 1939 roku zakopywał sztandar pułkowy, żeby nie dostał się w ręce Niemców. Został on odkopany, po wielu poszukiwaniach, dopiero w listopadzie 1959 roku. 25 września 1939 roku resztki 16. Pułku Ułanów, wchodzących w skład Grupy Kawalerii ppłk Edwarda Wani, zostały otoczone przez oddziały niemieckie w rejonie miejscowości Krasnobór i rzeki Wieprz. Podczas ciężkich walk prapradziadek został ranny i dostał się do niewoli. Niestety, wtedy też zginęła jego ukochana Burza.

Wraz z innymi żołnierzami został przetransportowany do obozu jenieckiego dla oficerów – Oflagu X A w miejscowości Sandbostel, gdzie oznaczono go nr obozowym 462. Przysyłał stamtąd listy, które się zachowały do dzisiaj. Wysyłał je również z Oflagu X C, który znajdował się na północy Niemiec w Lubece i z Oflagu VII A, czyli z bawarskiego Murnau. W 1944 roku, w jednym z tych obozów, narysowany został szkic, który go przedstawia. Autorem prawdopodobnie był por. Jan Chojnacki.

Po wojnie prapradziadek wrócił do kraju. Prześladowany w latach stalinizmu, pracował aż do śmierci jako lekarz weterynarii.

Kaja

Babcia Kaja, a tak naprawdę Kazimiera, urodziła się 2 lutego 1901 roku w Stanisławowie. Teraz jest to miasto na Ukrainie. Jej tato, Karol Trojanowski, był pracownikiem Kolei Wiedeńskiej i został tam oddelegowany. Był zawiadowcą stacji Przemyśl. Później mieszkali w Przemyślu, w czasie I wojny światowej w Dukli i znów w Przemyślu.

Jako 8 letnia dziewczynka miała wypadek. Potrzebna była operacja kręgosłupa, którą przeszła w Wiedniu. Jej największym przeżyciem w czasie pobytu w szpitalu była wizyta cesarza Austro-Węgier Franciszka Józefa, który zechciał osobiście odwiedzić dzieci tam przebywające. Przez wiele kolejnych lat w domu było zdjęcie z tej wizyty, niestety, pożyczone do zrobienia odbitki, nigdy nie wróciło. Mnie już nie udało się go zobaczyć.

Cała rodzina była wielkimi polskimi patriotami, a praprababcia Kaja niezwykle dzielna i pełna poświęceń. Jej obaj starsi bracia walczyli w czasie I wojny światowej w polskich oddziałach przy armii cesarskiej. Starszy Józef zginął w 1915 roku w miejscowości Besko. Drugi brat – Alojzy przeżył obie wojny światowe. Był inżynierem – architektem specjalizującym się w wojskowych budowlach obronnych. Przeszedł z armią gen. Andersa szlak z Rosji do Iraku, potem Palestyny, a w czasie walk w Afryce Północnej

został ranny. Koniec drugiej wojny światowej zastał go w szpitalu w Egipcie.

Babcia mimo młodego wieku wraz z siostrami pracowała jako wolontariuszka w szpitalu wojskowym.

W 1922 r. poznała w Przemysłu młodego studenta weterynarii – Henryka. Jechał do swoich rodziców, którzy mieszkali niedaleko niej. Dwa lata później wzięli ślub. Bardzo się wtedy kochali. Pewnego razu Kaja postanowiła odwiedzić, ze swoim synkiem, rodziców. Henryk odprowadził ją na dworzec. Pomógł zająć miejsce i pomachał na pożegnanie. Pociąg ruszył z peronu. Jakież było zdziwienie i wzruszenie Kajki, gdy po chwili zobaczyła go pędzącego konno wzdłuż torów i machającego do niej. Pociągi lokalne nie były w tym czasie zbyt szybkie. Henryk w pewnym momencie, gdy zbliżali się do następnej stacji, pognął konia galopem i przegonił lokomotywę. Gdy zatrzymali się na stacji, radość babci była ogromna. Zdyszany Henryk wpadł do wagonu. Emocje nieco ostygły, gdy zobaczyła w ręku bilety na przejazd, które w zamieszaniu przed wyjazdem zostawiła. Później bardzo często opowiadała tę przygodę.

Druga wojna światowa postawiła jeszcze trudniejsze wyzwania. Jako żona oficera została objęta ewakuacją z Bydgoszczy, która rozpoczęła się 2 września 1939 r. Wyruszyła z dwójką swoich dzieci, wraz z innymi rodzinami, pociągiem, ale bombardowania i chaos uczyniły ewakuację nieudaną. Zanim dotarła do swojej rodziny (mamy i siostr) na Podkarpaciu, minęły trzy miesiące wojny. W tym czasie znalazła się na terenach okupowanych przez Niemców i Rosjan. Niemcy wywozili ich do swojego kraju wagonem bydłowym, a Rosjanie przez trzy dni bez przerwy przesłuchiwali. Przeżyli tylko dzięki bezinteresownej pomocy ludzi, w tym wielu nieznanym.

Henryk znajdował się już w obozie jenieckim, gdzie niedługo później, bo 8 lutego 1940 roku, poprosił uzdolnionego kolegę o narysowanie szkicu ukochanej żony Kai. Rysunek wykonał podporucznik 8 Pułku Strzelców Konnych, używając dostępnych w obozie materiałów, ze zdjęcia, które nosił przy sobie Henryk.



U moich dziadków w pokoju wiszą dwa szkice. Przedstawiają moją praprababcie, rysowaną ze zdjęcia oraz mojego prapradziadka, który był jeńcem wojennym. Wykonano je podczas II wojny światowej w niemieckich obozach jenieckich. Ich historia bardzo mnie zainteresowała, więc poprosiłem dziadka Krzysia, żeby mi opowiedział o swoich dziadkach.

Bardzo niewiele opowieści po nich pozostało, ale cieszę się, że chociaż niektóre z nich nie zostały zapomniane i mogłem je poznać.

Teraz nie są to już dla mnie zwykłe szkice wiszące na ścianie.



Mikołaj Leszczyński

Publiczna Szkoła Podstawowa w Bezzreczu

Moja pamiątka rodzinna

W mojej rodzinie, z pokolenia na pokolenie – z babci na wnuczkę, przekazywany jest sygnet. Aktualnie jest on w posiadaniu mamy mojego taty, czyli mojej babci Alicji. Otrzymała go od swojej babci Eugenii z Kamińskich Wróblewskiej, jako pamiątkę rodową. Ponieważ była wtedy jeszcze niemowlakiem, więc tymczasowo sygnet spoczął na bezpiecznym dnie szkatułki jej mamy, czyli mojej prababci.



Praprababcia urodziła się w roku 1889. Znalazłem w genealogicznej bazie danych, że pochodziła z miejscowości Sylwanowce – malutkiej wsi nad Niemnem, w której w tamtych czasach mieszkało 211 osób w 27 domach. Ta wieś istnieje nadal, ale w 2009 roku liczyła już tylko 72 mieszkańców. Przetrwał też kościół, w którym pewnie była ochrzczona. Obecnie to Białoruś, obwód grodzieński, około 15 km od granicy z Polską i około 50 km na wschód od Augustowa. Eugenia zmarła w roku 1949 roku w okolicy Radomia i przed śmiercią, zgodnie z rodzinną tradycją, przekazała sygnet swojej najmłodszej wnuczce. W ten sam sposób również ona została tak obdarowana przez swoją babcię. Niestety nie natrafiliśmy jeszcze na żaden dokument mówiący nam, jak prapraprababcia się nazywała. Z odnalezionego online aktu ślubu Eugenii znamy jedynie dane jej rodziców.

Trzeba przyznać, że w czasie zbierania materiałów do napisania tej pracy rozmawiałem długo z babcią Alą, stryjem oraz tatą, i doszliśmy wspólnie do wniosku, że nasza wiedza o sygnecie jest niewielka. Wśród rodziny powtarzana jest historia o przodku, który spieniężył majątek rodzinny otrzymany w spadku, i wyemigrował do Francji. Nie wiemy, na fali której emigracji opuścił rodzinną ziemię. Jest niemal niemożliwe do ustalenia, czy związane to mogło być z wycofywaniem się wojsk napoleońskich w 1812 roku, czy Wielką Emigracją po powstaniu listopadowym 1830–1831, czy późniejszymi – z czasu Wiosny Ludów w 1848 roku lub po powstaniu styczniowym z 1863 roku. Ba, na dobrą sprawę nawet

nie wiemy, czy do takiego zdarzenia rzeczywiście kiedykolwiek doszło, jednak rodzinna legenda mówi, że ów przodek uprawiając hazard, przegrał we Francji ogromną większość posiadanych zasobów i zmuszony był wrócić w rodzinne strony, przywożąc ze sobą właśnie ten sygnet. Tyle legenda.

Sygnety znane były już w starożytności. Noszone głównie przez mężczyzn na palcu serdecznym lewej dłoni, służyły jako pieczęć do odciskania w laku lub wosku. Zamykając osobistą korespondencję, odciskano oczko pierścienia, na którym wygrawerowany był herb lub monogram, stanowiły więc swego rodzaju podpis właściciela. W Polsce sygnety z herbami rodzowymi używane były od XIV wieku i w większości rodzin szlacheckich przechodziły z ojca na najstarszego syna.

Sygnet będący w posiadaniu mojej rodziny, to ozdobny pierścień wykonany ze złota, posiadający czarne oczko z ciemnoczerwonymi plamkami. Nie są to jednak pozostałości laku, jak początkowo sądziliśmy. Okazało się, że taka jest specyfika krwawnika – kamienia, z którego oczko jest wykonane. Pośrodku oczka umiejscowiony jest herb szlachecki. Złota oprawa jest bardzo skromna i pozbawiona jakichkolwiek elementów ozdobnych, z tego powodu nie kojarzy się z biżuterią z XVIII czy XIX wieku. Moim zdaniem swoją formą dużo bardziej przypomina wyroby z okresu międzywojennego.

Profesjonalny opis herbu, czyli blazonowanie, wykonuje się zgodnie z zasadami heraldyki, a ponieważ używany do tego język nie zmienił się od wieków, opisy te brzmią archaicznie. W tej sprawie poprosiłem o pomoc tatę (wyszło chyba całkiem niezłe, jak na amatora):

Na środek tarczy błękitnej rzucona mniejsza tarcza z ukoronowanym dwójgłowym orłem z rozpiętymi skrzydłami i rozciągniętymi nogami, którą skrajem siedmiesięściopromiennych gwiazd otacza. Nad tarczą na potrójnej fali leżące trzy koronowane helmy rycerskie zamknięte. Każdy skrajny hełm lwa w koronie wspiętego ku środkowi zwróconego, z mieczem w łapie za sobą, jak do cięcia trzymany w klejnocie posiada, nad środkowym zaś hełmem zamknięte skrzydło orle.

Na każdy herb szlachecki składa się kilka elementów – tarcza, hełm, korona oraz klejnot. Ozdabiają go zewnętrzne ozdoby, takie jak dewiza, order, trzymacze, labry, a także w niektórych przypadkach płaszcz.

Godło heraldyczne to główny element graficzny widoczny na tarczy herbu. Gdy w średniowieczu rycerstwo używało tarcz, umieszczenie swojego godła na niej pozwalało łatwo określić kto jest przyjacielem, a kto wrogiem oraz ułatwiało dowodzenie na polu walki. Zwykle ma postać figur heraldycznych (zaszczytnych lub uszczerbionych) powstałych w wyniku podziału geometrycznego tarczy lub mobilii herbowych (zwanych także

godłami heraldycznymi właściwymi lub figurami zwykłymi), do których zaliczamy postacie ludzi, zwierząt, potworów legendarnych, ciał niebieskich lub innych przedmiotów itp.

Korona rangowa jest jedną z heraldycznych oznak godności posiadacza herbu, podobnie jak np. labry czy płaszcze heraldyczne. Pierwotnie umieszczana była między hełmem a klejnotem.

Klejnot jest heraldycznym odpowiednikiem rzeczywistych średnio-wiecznych ozdób umieszczanych na hełmach rycerskich, np. strusich i pawich piór, skrzydeł, czy rogów.

W przypadku pieczęci do laku lub sygnetów oddanie barwy heraldycznej, czyli tynktury, jest możliwe dzięki zastosowaniu techniki zwanej szrafirunkiem. Polega ona na „zakodowaniu” kolorów i futek heraldycznych za pomocą określonego wzoru, utworzonego przez użycie różnych rodzajów linii lub regularnie powtarzających się znaków.

Mając to na względzie, poddałem herb z sygnetu babci drobiazgowym oględzinom i wyróżniłem:

- *godło heraldyczne*: dwugłowy koronowany orzeł z rozpostartymi skrzydłami i rozłożonymi nogami (nie trzyma on w szponach symboli władzy królewskiej – berła ani jabłka królewskiego),
- *figura heraldyczna*: taki podział, z tarczą umieszczoną centralnie, w heraldyce nazywany jest „skrajem” i zaliczany do figur *zaszczepionych*; widoczny układ tarczy spełnia zasadę alternacji – tarcza z godłem w kolorze srebra umieszczona jest na błękitnej barwie skraju,
- mamy tu również *mobilium heraldyczne*: 7 sześciopromiennych gwiazd symetrycznie rozłożonych na błękitnej tynkturze skraju wokół centralnej tarczy z godłem,
- *helm*: typowy rycerski helm przętowy,
- *korona rangowa*: wydaje się, że wszystkie trzy korony są zwykłymi koronami szlacheckimi, jednak miejsce ich umieszczenia może sugerować, że mamy do czynienia z herbem sprzed końca XVI w., kiedy to trendem stało się umieszczenie koron rangowych pomiędzy tarczą herbową a hełmem,
- *szrafirunek*: poziome kreskowanie skraju tarczy herbowej, to symbol barwy niebieskiej/błękitnej/modrej, natomiast gładki wzór tarczy wewnętrznej pozwala stwierdzić, że tło dla dwugłowego orła jest srebrne.

Ten herb zawiera kilka elementów, które w heraldyce mają znaczenie symboliczne:

- *błękit*: prawość, wierność, stałość, czujność, patriotyzm a także pobożność czy zaufanie,

- *srebro*: czystość, prawda, rozsądek, niewinność,
- *morze*: pokazane jako umieszczona w tle hełmów potrójna linia fal, uważane jest za oznakę łaskawości i hojności,
- *gwiazda*: atrybut natchnienia, wolności, ambitnego celu w myśl zasady „*per aspera ad astra*” (z łaciny: przez trud do gwiazd); gwiazda sześciopromienna oznacza wzniosłe czyny, bezpiecznego przewodnika,
- *lew*: majestat, siła, odwaga i potęgą władzy królewskiej.

Zarówno mój stryj, jak i tata, próbowali rozwikłać tajemnicę herbu, ale mimo wielu lat i podejmowanych prób, niestety nie do końca się to udało. Z relacji stryja wynika, że heraldyk, do którego na początku XXI wieku zwrócił się o pomoc, mimo znajomości tematu, w końcu zrezygnował. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak było trudne, bez dzisiejszego dostępu do cyfrowych bibliotek, archiwów, baz danych, czatów, forów, mediów społecznościowych, komunikatorów czy e-maila, przeprowadzanie amatorskich badań w sposób „analogowy”.

Kilka lat temu, kiedy w sieci udostępniono coraz więcej zasobów, nadszedł czas, żeby jeszcze raz podjąć rękawicę. Tym razem poznawaniem genealogii naszej rodziny zajął się mój tata. Poszukiwanie informacji w internecie, w dziesiątkach polskich i zagranicznych herbarzy oraz wśród osób zajmujących się heraldyką zawodowo lub hobbystycznie, dało jedynie odnalezienie herbów zawierających tylko niektóre elementy naszego oraz sugestię, że podobne herby występowały w południowo-zachodniej Europie. Dowiedzieliśmy się również, że układ graficzny herbu – skraj z elementami (godłami) herbu żony – to specyfika iberyjska. Możliwe więc, że sygnet ten nie był wcale wykonany dla kogokolwiek z naszej rodziny, a mógł zostać po prostu przez tego przodka we Francji zakupiony lub wygrany. Trzeba wziąć także pod uwagę, że do tej pory nie potwierdziliśmy szlacheckiego pochodzenia Eugenii Kamińskiej. Ot, rodzinne legendy? Choć podobno w każdej legendzie ukryte jest ziarnko prawdy...

Obecnie powstał mały problem, bo babcia Ala nie ma wnuczki – ma za to trzech wspianiałych wnuków ;)

Gabriel Foremny

Szkoła Podstawowa im. Wspólnej Europy w Nawodnej

Sybir - droga przez wękę

Zastanawiałem się jaka pamiątka jest w stanie odzwierciedlić historię mojej rodziny, moich prapradziadków. Co najbardziej przekaże to co przeżyli, przez co przeszli. Zachowane zdjęcia sprzed lat, pozornie radosne, ale jak bardzo mylne. To ostatnie fotografie z w miarę poukładanego życia, przed piekłem, jakie ich czekało i jakie zdołali przeżyć. Babcia Helenka i jej mąż - dziadek Bolek byli zgodnym kochającym się małżeństwem. Nic nie zapowiadało, że ich życie tak się potoczy. Dziadek postawny wojskowy, zresztą od zawsze nim był, a Helenka zapatrzona w Bolka i mundur.



Dwa lata po ich ślubie, w 1936 roku rodzi się ich pierwsze dziecko Tadeusz. Wydawałoby się, że do szczęścia nie trzeba nic więcej. Dobrze żyli, niczego im nie brakowało. I tak było do roku 1939, kiedy to nazistowskie Niemcy napadły na Polskę, a w ciągu kilku dni Związek Radziecki najechał wschodnią Polskę. To zdecydowało o losach kraju oraz mojej rodziny.

Nadszedł nieszczęsny rok 1940, który zburzył spokój, szczęście i otworzył bramy piekła. W tym roku Związek Radziecki przeprowadził akcję deportacyjną Polaków ze wschodu na Sybir. Moja rodzina została wywieziona pierwszym transportem, gdyż dziadek Bolek był wojskowym.

Był 10 lutego 1940 r., babcia Helenka, nieświadoma niczego przygotowywała obiad, którego nie zjedli. Do domu wtargnęło dwóch rosyjskich żołnierzy i trzech cywilów, kazali się pakować i o nic nie pytać. Babcia krzątała się szybko zabierając, co było pod ręką, co może być przydatne. Łzy w oczach, strach. Dziadek patrzył na nią i wiedział, że ich życie się zmieni, że już nic nie będzie takie samo. Bolek, trzymając zwinięte tobolki, opuszczał dom wiedząc, że traci co ma. Helena, tuląc Tadzia w ramionach, z oczami pełnymi strachu wychodziła nie wiedząc co dalej? Gdzie rzuci ich los? Co ich czeka? Wsadzili ich do ciężarówki wraz z innymi rodzinami i zawieźli na dworzec w Grodnie, bo tam był dom dziadków,

Helenki i Bolka Kolupailo, tak brzmiało nazwisko dziadka. Nawet nie przypuszczał jak bardzo Sybir zmieni ich życie. Stali na dworcu z małym dzieckiem bagażami, pełni obaw, strachu, ale z przekonaniem, że dopóki mają siebie, dadzą sobie radę. Wpakowali ich w wagony jak dla bydła. Z półkami, które miały służyć za łóżka. Smród i ciasnota były nie do opisania. To była trudna i długa droga. Tulili się do siebie z zimna, jeden drugiego pocieszał. Płacz dzieci, głód i widok umierających ludzi po drodze był przerażający. Ciała zmarłych porzucano przy torach, a jadący ludzie zaczęli obojętnieć, nie mając już sił walczyć dalej z przeciwnościami. Jednak moi dziadkowie nie poddali się. Helenka, mała filigranowa kobietka z przytulonym synkiem Tadzkiem, była, mimo swojego wyglądu silną, upartą wojowniczką, pełną wiary i nadziei w to, że da radę. Rodzina była dla niej priorytetem, a Bolek, mój dziadek, podporą. Niezawodny mąż, przyjaciel, który w czasie podróży ostatni raz miał polski mundur na sobie. Jedną rzecz po drodze nurtowała babcię Helenkę, zresztą dziadka też, dlaczego ich nie rozdzielili, jak inne rodziny. Byli razem i dobrze, ale dlaczego? Nikt nie znalazł odpowiedzi i nie wiedział z czym przyjdzie im się zmierzyć. Wyczekiwana odpowiedź przyniosła piekło, gehennę, krew, łzy i nieme błaganie o pomoc, która nie nadchodziła.

Po długiej męczącej podróży dotarli moi pradziadkowie w azjatycką część Sybiru do Ust Abakan. Początkowo zdawało się, że wszystko będzie dobrze. Dziadkowie z małym Tadzkiem otrzymali porcje żywnościowe. Niby rodziny wojskowych miały być traktowane z szacunkiem. Wsadzili ich do samochodu i rozwozili po domostwach. Helenka była przerażona widząc niektóre domy, a raczej lepianki. Zaczęła postrzegać wszystko w czarnych kolorach, strach w jej sercu potęgowała troska o syna. W końcu przyszła pora wysiadać. Ku swojemu zdziwieniu ujrzeni w miarę ładny drewniany domek w niczym nieprzypominający pozostałych. Helenka powiedziała do Bolka ze łzami w oczach: „Jakie to szczęście, że jesteś wojskowym, przecież obiecali mundurowych traktować z szacunkiem”.

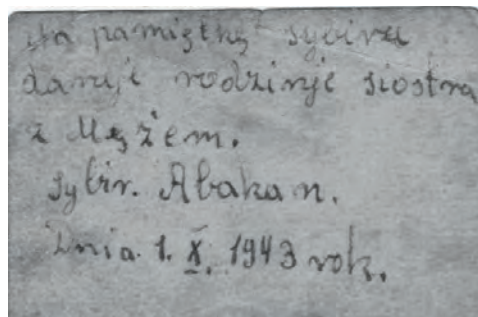


Dom był w miarę wyposażony, dostawali dobre racje żywnościowe, ale mundur Bolka zabrali i dokumenty również. Nikt z nich nie wiedział, że to nie potrwa długo. Czas mijał, a w międzyczasie przywożono inne rodziny wojskowych pod dom dziadków i robiono im zdjęcia na których musieli udawać szczęśliwych. Z czasem przekonali się dlaczego.



Znów zagościło szczęście w ich domku. Urodziła się im córka. Na imię jej dali Grażynka, ale nie przypuszczali, że z jej narodzinami ich życie zmieni się w katorgę. Był zimny styczeń 1941 roku, pod dom dziadków podjechał wojskowy rosyjski samochód. Wysiadło z niego trzech mundurowych i jeden urzędnik. Znów kazali się im pakować. Dziadek próbował oponować, pytał dlaczego? Co się stało? Wtedy urzędnik wyciągnął zabrane wcześniej dokumenty i oznajmił, że od dziś nazywa się Siergiej Bolesław, bo nie może być tak, aby jego nazwisko kojarzyło się z nazwiskiem wysokiej rangi urzędnika ich państwa, że to jest niedopuszczalne i zostają przeniesieni do nowego domu. Helena pakowała rodzinę w pośpiechu, nie bardzo rozumiejąc co się stało. Dziadek Bolek już wiedział, że czeka ich życie jak pozostałych zesłańców. Zawieźli ich do domu przypominającego lepiankę, który już zamieszkiwały dwie siostry. Wyglądały jakby były na skraju wyczerpania. Brud, robactwo i zimno przerażały. Skończyły się porządne racje żywnościowe. To co przysługiwało można było porównać do pomyj, a przecież było dwoje małych dzieci. Wyganiaли ich do pracy z samego rana, z której wracali późnym wieczorem. Praca w lesie była ciężka, ale żeby przeżyć trzeba było pracować. Helena z Bolkiem nie tracili nadziei na powrót do domu, mimo głodu i zimna. Wytrzymywali to piekło dla dzieci. Był taki czas, że sami nie jedli, a dzieci dzielili jednym kartoflem. Bolek zawsze powtarzał babci: „Helena przeżyliśmy wymioty, gorączki, tyfus, to doczekamy powrotu.” W babci przyciszonych oczach widział odrobinę nadziei, dzięki której żyła resztką sił i powrotem do Ojczyzny. To nie było życie, to egzystencja, walka o być albo nie być. Myśleli, że już

nic gorszego ich nie spotka, bo cóż może być gorszego od ciężkiej pracy, przymierania głodem, utraty człowieczeństwa. Żyli dzięki wzajemnemu szacunkowi, miłości do siebie i dzieci.



Przyszła roku 1944. Helenie i Bolkowi urodziła się druga córka, Krystyna. Od urodzenia była bardzo chorowitym dzieckiem, ale na szczęście babcia po czterech latach pobytu na Sybirze miała na to swoje sposoby i umiała sobie radzić. Któregoś dnia przyszli żołnierze wyganiać ludzi do pracy, tego dnia było ciepło. Dziadkowie pośpiesznie wstali, ale Sowieci kazali się umyć całej rodzinie i przebrać w świeże ubrania. Nie wiedząc o co chodzi, pośpiesznie wykonywali ich rozkazy. Zawieziono ich do pierwszego domu, który wcześniej zajmowali. Tam kazali im usiąść na schodach i ustawić do zdjęcia. Dzieci były wystraszone, dziadkowie też. Za fotografem z aparatem stali żołnierze z wycelowanymi karabinami w ich stronę, a jeden krzycał: „Uśmiechać się, uśmiechać!”. Myśleli, że to już koniec, ich ostatnie chwile.



Jednak to nie był koniec. Zaraz po zrobieniu zdjęcia, odwieźli ich na miejsce do lepiarki. Kazali oddać ubrania i szybko iść do pracy. Wtedy jeden z Sowietów podszedł do Tadzia, który miał niecałe osiem lat i trącając go karabinem kazał mu też zbierać się do pracy. Dziadek Bolek stanął w jego

obronie, mówiąc, że w domu jest małe dziecko - Krysia oraz niewiele starsza Grażynka i ktoś się musi nimi zająć. Tadek klęczał i trzymał się kurczowo nóg dziadka. Nie trwało to długo. Jeden z żołnierzy, podszedł, odepchnął dziecko. Stał bokiem i strzelił w nogi dziadka kilka razy. Kule przeszły kolana, dziadek upadł. Babcia stała zdętwiała, łzy popłynęły jej po policzkach, a Bolek leżał nieprzytomny z bólu. Helenkę i Tadek zabrali do pracy, a mała Krysia i Grażynka zostały z nieprzytomnym tatą. Tego dnia Helena pracowała ile sił i wypatrywała zmierzchu by wrócić do domu. Wracając podtrzymywała zmęczonego syna i przyspieszała kroku, aby jak najszybciej znaleźć się w domu. Z mieszanymi uczuciami otworzyła drzwi. Myślała że zobaczy śmierć, ale ujrzała klęczącą Grażynę, która obwiązywała przestrelone kolana ojca. Bolek na wpeł siedzący tulił głodną płaczącą Krysię. Helena od dawna pierwszy raz poczuła radość, że jej rodzina jest w komplecie, a miłość jej życia nie pozwoliła zostać jej samej z dziećmi. Nogi dziadka zaleczyły się dzięki ziołom Helenki, ale już nigdy na nie, nie stanął. Babcia z synem pracowali jeszcze wiele miesięcy. Wykonywali też prace za Bolesława, który niestety nie był już zdolny do pracy. Przymierając głodem, opadając z sił, odporni na choroby, z trójką dzieci doczekali roku 1946. Roku wybawienia, roku powrotu do w miarę normalnego życia, do swoich i do ojczyzny. 15 czerwca 1946 roku powrócili całą rodziną do Polski.

Udało się przeżyć piekło, zwyciężyć ból, poniżenie i głód. Znów stali się normalną rodziną, z trójką dzieci i bagażem doświadczeń. Dzięki nim, ich historii, zaczynam rozumieć, co w życiu jest najważniejsze. Siłę do pokonywania trudności daje nam miłość, szacunek i wiara. Mając bliskich przy sobie można przezwyciężyć wszystko, nawet piekło na ziemi zwane Syberią.

Anna Bany

Szkoła Podstawowa nr 5

im. Orła Białego z Oddziałami Dwujęzycznymi w Policach

„Pies” i „Osa” - portret zanurzony w historii

Pamiętek w naszym domu jest wiele. Są to przedmioty wywołujące w nas wspomnienia wydarzeń i historii ważnych w życiu naszej rodziny. Są to książki prababci Dominiki z początku dwudziestego wieku przywieszone z Brześcia w kufrze, który też posiadamy. Są też kieliszki do jajek z dzieciństwa mojego taty, monety sprzed wojny, czy z PRL-u. Ale są to także: szatki chrzcielne moje i mojego rodzeństwa, pierwsze nasze buciki, biżuteria mamy z lat panieńskich. Mama to pieczołowicie chowa i pielęgnuje pamięć o ważnych momentach z naszego życia. Jest bardzo sentymentalna. Ale prawdą jest fakt, że rodzice dbają, by tradycje i wartości były przekazywane w naszej rodzinie z pokolenia na pokolenie. Ja lubię bardzo zdjęcia, szczególnie portrety, których mamy bardzo dużo.

Część z nich wisi na ścianach w ozdobnych ramach. Lubię patrzeć na stroje, biżuterię, fryzury, ponieważ te szczegóły, moim zdaniem, wiele mówią o czasach, w których postaci żyły. Moda też, jak wiadomo, zatacza nieraz koło, a różne jej elementy stanowić mogą inspirację do ciekawych kreacji.

Często patrzę na portret pradziadków, czyli rodziców babci Basi, mamy mojej mamy. Jednak to nie sentymentem się kieruję, ale podziwem dla sił genetyki. Pradziadkowie do złudzenia przypominają moje starsze rodzeństwo, które już nie mieszka z nami, a dzięki temu portretowi przywołana jest słodka pamięć o nich. Zdjęcie, oprawione w eleganckie ramy wisi majestatycznie w centralnym miejscu pokoju. Jest duże, w kolorze szaro-brązowym, co pasuje do wystroju salonu. Mama ozdobiła je w passe-partout, by je wyeksponować. Prababcia Hieronima (z domu Mioduszevska) i pradziadek Zygmunt Kotowski, prości ludzie, są piękni, młodzi i tacy dostojni. Fotografia jest oryginałem wykonanym ok. 1935 roku w zakładzie fotograficznym w Jedwabnem, miejscu zamieszkania pradziadków. Towarzyszyła życiu rodziny „od zawsze”, jak mówi babcia Basia. Z Jedwabnego do Polic przybyła na usilną prośbę mojej mamy dopiero 15 lat temu, w rocznicę ślubu rodziców. Dlatego to zdjęcie jest świadkiem historii niemal od początków XX wieku. Swoją drogą, idea robienia

portretów rodzinnych jest ciekawa. Jest to wyraz troski o wizerunek rodziny jako całości i jedności. Mam wrażenie, że dzisiaj odchodzi się od tej formy pamięci. A szkoda. Bo rodzice opowiadając o tamtych czasach i ich bohaterach podkreślają fakt, że to jak człowiek żyje ma wpływ na innych, a jego wybory i decyzje tworzą bieg historii. Tak też było w życiu moich pradziadków Hieronimy i Zygmunta Kotowskich.



Już samo miasteczko, w którym mieszkali, Jedwabne, to skrawek historii naszego państwa. W miejscu tym, 10 lipca 1941 roku dokonana została straszliwa zbrodnia na mieszkających tam Żydach. Całe rodziny zginęły w wielkich mękach płonąc żywcem. Niemcy oraz władza Polski Ludowej oskarżały o tę zbrodnię Polaków. Tak też np. napisał prof. Tomasz Gross w książce pt. „Sąsiedzi”. Moja babcia Basia mówi, że pozycja ta nie jest pracą naukową, a metody zbierania informacji i wiedzy stosowane przez autora dalece odbiegają od standardów naukowych.

Zdaniem babci, zbrodnię tę dokładnie zbadał i opisał historyk prof. Marek Chodakiewicz w książce „Mord w Jedwabnem”. W przeciwieństwie do pracy T. Grossa znajduje się w niej wiele przypisów odwołujących się do źródeł historycznych. Bardzo duży wkład w poznanie prawdy na ten temat wniósł prof. Tomasz Strzembosz, który na podstawie dokumentów odnalezionych w archiwach w Łomży uznał, iż wskazują one jednoznacznie na niemieckie sprawstwo zbrodni jedwabieńskiej.

Świadkowie tego zdarzenia również przypisują winę Niemcom jako inspiratorom, organizatorom i wykonawcom owej zbrodni. Żydzi do stoły, w której zostali spaleni, pędzeni byli ulicą, przy której mieszkali pradziadkowie. Ten moment widziała z domu prababcia Hieronima.

Podprowadziła do okna swą 5-letnią wówczas córkę Zosię, mówiąc ze łzami: „Patrz, dziecko. I zapamiętaj na całe życie”. Ciocia, obecnie 85-letnia kobieta, zapamiętała do dziś wypełniający niemal całe okno ciężki but żołnierski, a przy nim karabin z lufą skierowaną do ziemi. Dla historyka, obraz ten mówi sam za siebie. Jest jednoznaczny. (Polacy nie mieli wówczas takich mundurów i uzbrojenia).

Sprawa mordu na Żydach w Jedwabnem budzi jednak w dalszym ciągu wiele kontrowersji. Spór ten świadczy o tym, jak wielką potrzebą jest nadal odkrywanie prawdy historycznej poprzez badania, a także – jak ważne jest przekazywanie pamięci przez tych którzy jeszcze żyją. „Prawda jest fundamentem wolnej Rzeczypospolitej” – tak zamierzał powiedzieć prezydent śp. Lech Kaczyński w przemówieniu, które miał wygłosić w 2010 roku podczas obchodów siedemdziesiątej rocznicy zbrodni katyńskiej – usłyszałam w telewizji w trakcie konkursu „Polskie serce pękło. Katyń 1940”. Myślę, że więcej się o tym dowiem na metodologii, jeśli kiedyś w życiu podejmę się studiowania.

W Jedwabnem urodziła się moja babcia Basia. Tam też wszystkie swoje wakacje spędzała potem moja mama. Bardzo miło wspomina te czasy. Przejazdźki wozem konnym, „szaloną” jazdę na rowerach po niemal pustych wtedy okolicznych drogach, lasek leszczynowy, grzybobrania o świcie, zabawy w chowanego i inne. Ale nie zawsze było tak sielsko we wspomnieniach naszej rodziny.

1-go września 1939 r. wybuchła II wojna światowa wywołana przez Niemców. Zaraz potem, 17 września od wschodniej granicy Polski nastąpiła agresja sowiecka. Również i na tereny wokół Jedwabnego wkroczyła Armia Czerwona, a jej żołnierze obchodzili się w sposób okrutny z ludnością cywilną. Wpłynęło to znacząco na powojenną działalność pradziadka Zygmunta. Wiedział on dokładnie czego się można spodziewać po sowietach.

Wspominane przeze mnie zdjęcie przedstawia młodą i elegancką prababcię Hieronimę i pradziadka Zygmunta. Jest on ubrany w wojskowy mundur, ponieważ służąc w Wojsku Polskim ukończył szkołę podoficerską.

W czasie II wojny światowej pradziadek walczył z okupantem w okolicach Łomży, Zambrowa i Ostrołęki. Niestety, dostał się wówczas do niewoli niemieckiej. Wycierpiał wtedy wiele. Szczęśliwie jednak, choć z wielkim trudem, w lipcu 1941 roku udało mu się uciec ze stalagu jenieckiego i powrócić do swojej rodziny.

Od tej pory mój pradziadek walczył o wolną Polskę w konspiracji. Będąc żołnierzem, pod pseudonimem „Pies”, pełnił funkcję dowódcy kompanii i szefa wywiadu Armii Krajowej i WiN w gminie Jedwabne. Po zakończeniu wojny w 1945 roku, podobnie jak inni żołnierze konspiracyjni, nie pogodził się z tym, że Polska została pod wpływem ZSRR. W strukturze obwodu WiN Łomża pełnił funkcję prezesa gminy Jedwabne. Oczywiście, podobnie jak inni walczący o wolną Polskę, musiał się ukrywać z dala od swojej ukochanej rodziny.

19 stycznia 1947 roku władza państwa ogłosiła amnestię dla Żołnierzy Wyklętych, którzy szukali schronienia (szczególnie w lasach) i prowadzili różne akcje, na przykład odbijania z więzień aresztowanych i osadzonych tam swoich towarzyszy. Pradziadek skorzystał z amnestii i ujawnił się 28 marca 1947 roku. W grudniu tego roku urodziła się moja babcia Basia.

Niestety, niektórym ujawnionym groziło ponowne aresztowanie. Major Jan Taborowski ps. „Bruzda” nadal musiał uciekać i ukrywać się w nadbiebrzańskich lasach i wioskach. Jego oddział wyzwolił kilkudziesięciu aresztowanych w więzieniu w Grajewie i innych miejscowościach. Został zastrzelony w 1954 roku w Przytulach.

Postać „Bruzdy” łączy się bezpośrednio z moim pradziadkiem Zygmuntem. Znał on miejsce schronienia i dostarczał mu żywność. Z powodu posiadania tych wiadomości i nie przekazania ich władzom, został w sierpniu 1952 roku aresztowany i osadzony na dwa lata w więzieniu Urzędu Bezpieczeństwa. Początkowo przebywał w Łomży, później w Białymstoku. Urzędnicy bezpieki, chcąc wydobyć informację od więźniów, stosowali straszliwe tortury, często kończące się śmiercią. Pradziadek, mimo doświadczenia całego okrucieństwa, przeżył. Nie wydał kryjówki majora „Bruzdy”, a za zasługi bojowe i prace konspiracyjne został odznaczony (jeszcze podczas wojny przez dowództwo Armii Krajowej) brązowym krzyżem z mieczami. Niestety, w bliżej nieznanymi okolicznościach, ta cenna pamiątka zaginęła. Fakt odznaczenia pradziadka krzyżem zasługi jest jednak w dokumentach m.in. w zasobach IPN.

Mój pradziadek był wielkim patriotą. Niestety nie doczekał wolnej Polski i zmian jakie zostały dokonane w 1989 roku. Zmarł w 1983 roku i został pochowany w rodzinnym grobie na cmentarzu w Jedwabnem.

Prababcia Hieronima również kochała Polskę i była bardzo dzielną, odważną, pracowitą kobietą. Gdy pradziadek był na wojnie i w czasie jego niewoli sama zajmowała się małymi dziećmi i gospodarstwem. Podczas działalności konspiracyjnej pradziadka była łączniczką o pseudonimie

„Osa”. Odważnie, z narażeniem życia przekazywała informacje i dokumenty w strukturach AK. Życzliwie przez kogoś ostrzeżona, uniknęła deportacji w głąb Rosji, na Sybir. Uciekała pieszo, z dwojgiem małych dzieci do rodziny na wsi odległej 14 km od Jedwabnego. Po wojnie, gdy dziadek się ukrywał, ciągle była nękana przez pracowników UB, którzy chcieli, by wskazała miejsce pobytu męża. Wizyty takie były bardzo stresujące, odbywały się często w nocy. Była zastraszana, stosowano wobec niej przemoc. Nadto ciężko pracowała. Była kobietą bardzo zaradną i mocną. Miała też w sobie dobroć nawet dla wrogów. Gdy armia niemiecka była w odwrocie ponosząc klęskę pod Stalingradem dała uciekającemu żołnierzowi dużą gospodarczą misę gotowanych ziemniaków, którą akurat na podwórku miała w rękach. Wspominała: „Żał mi go było, bo tam, gdzieś daleko, matka na niego pewnie czekała”.

Prababcia Hieronima dożyła późnej starości, zmarła mając 102 lata. Wcześniej, w 2015 roku wszyscy z rodziny byliśmy na pięknej jubileuszowej uroczystości w Jedwabnem, świętując stulecie naszej bohaterki.

Patrząc na to pamiątkowe zdjęcie jestem dumna ze swoich przodków. Oni życiem dowiedli, że wszystkie wybory jakie dokonujemy i postawy, które przyjmujemy, mają wpływ na losy naszych najbliższych. Mogą też one zmieniać rzeczywistość wokół nas. Kiedy słucham tych wszystkich ciekawych historii (a jest ich w naszej rodzinie wiele), kiedy oglądam piękne pamiątki, a szczególnie zdjęcia i portrety, to zastanawiam się nad tym, jakie będzie moje życie? Kim będę? Co mogę zrobić aby świat był piękniejszy?

Usłyszałam kiedyś: „Naród który zapomina o swojej przeszłości nie ma żadnej przyszłości. Nie ma tożsamości i kultury narodu bez pamięci”. Co ja mogę zrobić, by upamiętnić moich przodków? Rodzice i dziadkowie opowiedzieli mi tę wspaniałą historię, zachowali pamiątki z tamtych lat. Niech więc wyrazem mojej pamięci o tych wydarzeniach będzie te kilka słów, które teraz piszę. Wydrukuję to, pięknie oprawię i przekażę moim dzieciom, by miały ślad mojego istnienia.

Adam Jędrzejczak

Szkoła Podstawowa nr 3 im. Marynarzy Polskich w Kołobrzegu

W małym ciele wielki duch

Wśród przechowywanych przez moją rodzinę od pokoleń pamiątek znaleźć można głównie biżuterię, ponieważ przeprowadzając się na Ziemię Odzyskane moi przodkowie przywieźli minimalną ilość przedmiotów. Z każdym z owych drobiazgów związana jest jednak barwna anegdota. Do ulubionych przeze mnie precjozów należy niewielka, ponad stuletnia bransoletka z granatami i pasujący do niej złoty pierścionek z granatem. Bransoletka wykonana jest z nieszlachetnego metalu w rudawym kolorze. Składa się z dwóch półokręgów, z jednej strony połączonych misternym zawiasem, a z drugiej bardzo delikatnym i subtelnym zapięciem. Ażeby nie zsunęła się z dłoni w przypadku rozpięcia, posiadała kiedyś łańcuszek, który niestety zaginął u niesolidnego jubilera, gdy moja mama oddała bransoletkę do renowacji. Na obręczy znajdują się dokładnie osiemdziesiąt cztery kunsztownie opracowane w metal maleńkie granaty, które fascynująco i tajemniczo skrzą się w świetle dzięki fasetowemu szlifowi. Na froncie doprawiony jest kwadrat, w którym umieszczono jeszcze szesnaście takich samych kamieni.



Według tradycji granaty symbolizują odwagę, dodają wewnętrznej energii, witalności i siły temu, kto je nosi. W starożytnej Grecji kobiety, które chciały doczekać się potomstwa i zapewnić sobie szczęśliwe życie rodzinne, nosiły biżuterię z granatami. Jest to związane z tym, że owoc granatu, a co za tym idzie także minerał, którego nazwa pochodzi od nasion granatu, są atrybutami Hery. Może dlatego mój odczytany prapradziadek zdecydował się właśnie taką biżuterią obdarować moją niepozorną wzrostem, ale żelazną duchem praprababcę. A było to tak...

Moja praprababcia, Zofia Baranowska, mieszkała wraz z rodzicami w Topoli Katowej, małej wsi pod Łęczycą. Jej ojciec był nauczycielem, rodzina utrzymywała się też z pracy na roli. W dzieciństwie Zosia często chorowała i w związku z tym wyrosła na niezwykle delikatną, filigranową dziewczynę. Oczywiście było zatem, że nie podola ciężkiej pracy w polu. W tamtych czasach dziewczęta nie miały wielkiej swobody w planowaniu swojej przyszłości i naturalnym było wydawanie ich za mąż, najchętniej za pośrednictwem swatki. Rodzice Zosi zlecili więc swatce znalezienie odpowiedniego kandydata na męża. Ta zaproponowała kandydaturę syna rzeźnika z Łęczycy, po którym spodziewano się, że wkrótce przejmie zakład masarski po ojcu. Wychodząc za niego Zosia miałaby zapewnioną dostatnią przyszłość. Mieszkałaby w mieście, co uchodziło za nobilitujące i nie musiałaby ciężko pracować fizycznie. Jej rodzicom ta kandydatura wydała się idealna i zaprosili rzeźnika wraz z synem na oficjalne zapoznanie. Kiedy jednak swatka wprowadziła do białej (gościnnej) izby kandydata na męża, Zosia pobladła i nie mogła wykrztusić ani słowa. Goście przywitani się i rozsiedli, a swatka zaczęła z jednej strony zachwalać majątek narzeczonego, z drugiej przymioty Zosi. Widać jednak było, że przyszłej panie młodej kawaler w ogóle się nie spodobał. Był wielki, zwalisty, miał byczy kark, małe, sprytne oczy i, jak później opowiadała mojej prababci, patrzył na nią „jak na spyrkę”. Rodzice Zosi dwoili się i troili, żeby zrobić jak najlepsze wrażenie na przybyłych, a panna siedziała bez ruchu. W końcu nie wytrzymała, wstała gwałtownie z ławy i bez słowa wybiegła z izby. Zabarykadowała się na strychu, gdzie latem spało się na sianie i odmówiła zejścia na dół. Nie pomogły prośby, ani groźby. Obrażeni goście wyszli, a rodzice próbowali przemówić córce do rozsądku. W końcu zagrozili nawet wielkim laniem. Nic nie pomogło, nie otworzyła zaryglowanych od wewnątrz i podpartych kolkiem drzwi. Godziny mijały i rodzice, którzy początkowo sądzili, że panna wyjdzie, gdy zgłodnieje, zaczęli rozumieć, że sprawa jest poważniejsza, niż im się zdawało. Wreszcie na strych udała się swatka. Przez dłuższą chwilę cicho rozmawiała z Zosią, po czym zeszła i oznajmiła: *Albo jej odpuście tego rzeźnika, albo będziecie mieć pogrzyb zamiast wesela, panna sznurem grozi*. Usłyszawszy te słowa przerażeni rodzice zdecydowali się wreszcie złożyć mojej charakternej praprababci obietnicę: nie będzie musiała wychodzić za mąż za kandydata, którego nie zaakceptuje. Uspokojona Zosia odryglowała wówczas drzwi i zeszła ze strychu.

Teraz swatka lepiej już знаła i rozumiała gust Zosi. Wkrótce opowiedziała rodzicom o kolejnym kawalerze do wzięcia. Był to gospodarski syn, któremu udało się skończyć szkołę rolniczą i który właśnie uzyskał posadę zastępcy zarządcy w dużej ziemskiej posiadłości pod Pabianicami. Nawiasem mówiąc, jego nazwisko brzmiało Ignacy Pabiańczyk. Zosia uważnie wysłuchała opowieści o spokojnym, poważnym, lubiącym książki kawalerze i przychyliła się do planów zaproszenia go do domu. Młodzi spodobałi się sobie i od pierwszej chwili znaleźli wspólny język, ponieważ często w dzieciństwie chorująca Zosia także była rozmiłowana w czytaniu, jednej z nielicznych wówczas rozrywek dostępnych osobom, które musiały leżeć w łóżku.

Jako prezent ślubny mój prapradziadek podarował praprababci właśnie ową bransoletkę z granatami, a patrząc na jej mały obwód łatwo można sobie wyobrazić, jak drobną osóbką musiała być panna młoda. Do podobnych wniosków dochodzi się przymierzając mały pierścionek z granatem, który dumny prapradziadek wręczył Zosi po narodzinach ich najstarszej córki Rozalii.

Obie rzeczy trafiły do mojej prababci, ponieważ była najmłodszym i, nie wahajmy się tego przyznać, ulubionym dzieckiem Zofii i Ignacego – otrzymała nawet imię po swej mamie. Moja prababcia Zosia nosiła pierścionek przez całe życie, natomiast otoczona najwyższym szacunkiem bransoletka leżała w jej pokoju w specjalnej szkatulce na toaletce. Kiedy moja babcia Krystyna, jedyna córka prababci Zosi, wybierała się na bal maturalny, prababcia pożyczyła jej bransoletkę. Podczas zabawy odpadł jednak kwadrat z szesnastoma granatami! Nie zaginął, ale prababcia zdenierwowała się i uznała, że Krysia nie zasługuje na noszenie tak ważnej rodzinnej pamiątki. Dopiero moja mama dostała tego zaszczytu. Jako ulubiona wnuczka Zosi dostała od niej zarówno bransoletkę, jak pierścionek. W najmłodszym pokoleniu naszej rodziny urodzili się wyłącznie chłopcy, ale jeżeli któryś z moich kuzynów lub ja będzie mieć kiedyś córkę, usłyszy ona barwną historię pochodzenia tych pięknych rzeczy i dostanie je. Dla wszystkich będzie wówczas oczywiste, że nie sprzeda ich nikomu za żadne pieniądze, tylko podaruje wybranej osobie z młodszego pokolenia, ponieważ sentymentalna wartość tych precjozów jest wprost nieoszacowana.

*Gala rozdania nagród Laureatom II edycji konkursu
„Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię”*

14 czerwca 2021 roku w Sali Rycerskiej Zachodniopomorskiego Urzędu Wojewódzkiego w Szczecinie odbyła się gala wręczenia nagród Laureatkom i Laureatom konkursu historyczno-literackiego „Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię”. Nagrody wręczyli organizatorzy Zachodniopomorski Kurator Oświaty pani Magdalena Zarębska-Kulesza i Dyrektor Archiwum Państwowego w Szczecinie pan dr. hab. prof. US Krzysztof Kowalczyk.

Fot. Daniel Wróbel









ARCHIWA
PAŃSTWOWE
ARCHIWUM PAŃSTWOWE
W SZCZECINIE



Kuratorium Oświaty
w Szczecinie